
OSTATNIE
ZAGINIONE
MIASTO
PRZYGODY ULISESA VIDALA
FERNANDO
GAMBOA

OSTATNIE ZAGINIONE MIASTO

Oryginal work copyright:
©Fernando Gamboa
Tytuł oryginału:
Ciudad Negra

Tłumaczenie: Piotr Jarco
Redakcja i korekta: Barbara Lewandowska, Natalia Grzeszczak
Skład i łamanie: Piotr Jarco

ISBN: 978-83-978114-8-5 (druk)
ISBN: 978-83-978114-9-2 (EPUB)
ISBN: 978-83-981535-0-8 (MOBI)
ISBN: 978-83-981535-1-5 (PDF)
ISBN: 978-83-981535-2-2 (audiobook)

autornia

www.autornia.com

e-mail: hola@autornia.com

Copyright ©2026 by Studio Link Piotr Jarco

Polska, 2026

OSTATNIE ZAGINIONE MIASTO

PRZYGODY ULISESA VIDALA

FERNANDO GAMBOA

Pamięci Nurii Badal Jiménez
(9/5/1975 – 6/7/2012)
Niech pamięć o niej pozostanie żywa.

PROLOG

Powieść, którą trzymasz w rękach, to kontynuacja bestsellerowej *Ostatniej krypty*. Książka ta, jak zapewne wiesz, podbiła serca ponad 800 000 czytelników na całym świecie i stała się jedną z najpopularniejszych hiszpańskich powieści przygodowych.

Akcja *Ostatniego zaginionego miasta* rozpoczyna się kilka miesięcy po powrocie Ulisesa, Cassie i profesora Castilla do domu, płynnie nawiązując do zakończenia poprzedniej części. Mimo wszystko jest to jednak zupełnie nowa, niezależna historia, którą można w pełni docenić bez znajomości wcześniejszych wydarzeń lub lektury *Ostatniej krypty*.

A teraz, bez zbędnych wstępów – niech zacznie się przygoda.

W oddali kryje się tajemnica,
obiecująca niezwykłe odkrycia.
Spójrz w stronę gór,
może tam czeka ukryty skarb.
Ruszaj!
Ruyard Kipling

Z

6 stycznia 1926, dorzecze Xingu, Amazonia

– Biegnij, tato! Biegnij!

– Nie zatrzymuj się, Jack! – krzyknął ojciec, po czym dwukrotnie wystrzelił w kierunku zarośli, skąd dobiegały ryki. – Uciekaj! Nie oglądaj się!

– Nie! – zaprotestował syn, szarpiąc go za ramię. – Nie zostawię cię!

Smukły cień przemknął tuż obok nich.

Zbliżały się coraz bardziej, a wraz z nimi znów ów obrzydliwy, mdlący, słodkawy odór rozkładającego się mięsa.

– Muszę je powstrzymać! – odparł.

Jack Fawcett, który zaledwie kilka miesięcy wcześniej z młodzieńczym entuzjazmem wyruszył wraz z ojcem, pułkownikiem Percym Harrisonem Fawcettem, na tę przygodę w amazońskiej dżungli, teraz był już prawdziwym wrakiem człowieka: wychudzonym i poranionym, w strzępach ubrania, z oczami wytrzeszczonymi ze strachu.

– Na Boga! – wykrzyknął przerażony. – Ale... co to za potwory?

W odpowiedzi nocną ciszę przeciął przeszywający ryk, od którego włosy zjeżyły mu się na karku.

– Chodźcie tutaj i pokażcie się, przeklęte demony! – zagrzmiał pułkownik Fawcett z twarzą wykrzywioną wściekłością. Wycelował w nieprzeniknioną dżunglę i ponownie pociągnął za spust swojego starego springfielda.

– Proszę, tato! Chodźmy stąd! – błagał Jack. – Zaraz nas dopadną!

Pułkownik obejrzał się za siebie. Nie zobaczył zahartowanego żołnierza, takiego jak ci, z którymi walczył lata temu w okopach Frontu Zachodniego podczas Wielkiej Wojny. Ujrzał jedynie gołowąsa, własnego syna, sparaliżowanego wizją straszliwej śmierci.

– Cholera! – syknął, uświadamiając sobie, że tej bitwy nie wygra. – Zostaw sprzęt, Jack! Wszystko! – Wskazał w przeciwnym kierunku i ryknął: – Za mną! Do rzeki!

Zostawili juki z jedzeniem i amunicją, rzucając się w szaleńczy bieg przez gęstwinę. Plątanina lian i kolczastych gałęzi rozszarpywała im skórę. Jack, wlokąc ranną nogę, patrzył, jak ojciec przeładowuje broń i na oślep wystrzeliwuje ostatnie naboje.

Dwa dni wcześniej znaleźli ciało Raleigha, a raczej to, co z niego pozostało. Zwłoki, oblepione muchami i robactwem, były okaleczone: kończyny brutalnie wyrwano, a rozpruty brzuch i klatka piersiowa odsłaniały krwawą pustkę po usuniętych narządach wewnętrznych.

Podejrzenie, że są obserwowani, potwierdziło się w najgorszy możliwy sposób. Od tej chwili ich jedynym celem była ucieczka i ratowanie życia.

Jack przedzierał się przez gęstwinę, torując sobie drogę, jak tylko potrafił. Kurczowo trzymał się nikłej nadziei na przeżycie, a w uszach dźwięczały mu słowa ojca, zagrzewające go do walki: miał nie ustawać, biec szybciej, żyć, by pewnego dnia powrócić do ukochanej Anglii.

Nagle, za ostatnią zasłoną lian, ukazało się coś, co na dobre zgasiło tlące się w nim resztki nadziei.

Przed nimi, oświetlona chłodnym blaskiem księżyca, rozpościerała się potężna wstęga mętnej wody. Nurt rzeki z impetem uderzał o skały i drzewa rosnące na brzegu, zagłuszając nawet wycie ścigających ich prześladowców.

– Na wszystkich świętych… – wymamrotał młodzieniec. Od drugiego brzegu oddzielało ich dobre sto metrów. W tej kipieli wody i błota szanse na przeżycie wydawały się nikłe, niemal tak nierealne jak przepłynięcie wpław Wodospadu Wiktorii.

W tej samej chwili z zarośli wyłonił się pułkownik Fawcett, z niewielkim skórzanym plecakiem przewieszonym przez ramię. Po ostatnim strzale w ciemność upuścił karabin i stanął twarzą w twarz z synem.

– Na co, u diabła, czekasz? – warknął. – Skacz do wody!

– Nie damy rady! – zaprotestował Jack. Jego źrenice rozszerzyły się ze strachu, gdy wskazał na rzekę. – Przecież to samobójstwo!

– Niech Bóg nam wybaczy – odparł pułkownik – ale nie mamy wyboru.

Zanim syn zdążył zareagować, ojciec pchnął go w rwący nurt, po czym sam wskoczył do spienionej wody pełnej skał i błota.

Porwani przez rwącą rzekę, ojciec i syn walczyli o utrzymanie się na powierzchni, starając się płynąć nogami do przodu, by uniknąć zderzenia ze skałami i dryfującymi pniami drzew.

Z każdym haustem upragnione powietrze mieszało się z mulistą wodą, która wdzierała się do ust i gardła. Każdy oddech był dla nich ogromnym wysiłkiem. Nie byli w stanie wytrzymać tego dłużej.

Pułkownik zdołał zebrać siły, by zawołać do syna, lecz huk bystrza zagłuszył jego głos. Po kilku sekundach głowa Jacka zniknęła na zawsze w kipieli nurtu.

Ojciec wrzasnął z rozpaczy, walcząc daremnie z zabójczą rzeką. Aż wreszcie ze zgrozą zrozumiał, co go czeka.

Przed nim horyzont urywał się nagle, jakby dotarł na sam kraniec świata. Percy'emu Harrisonowi Fawcettowi wystarczyła sekunda, by pojąć, że w pewnym sensie tak właśnie było.

Za chwilę miał runąć w przepaść gigantycznego wodospadu.

W ostatnich chwilach życia, zawieszony w nieważkości tuż przed upadkiem w pustkę, błagał Boga, by świat poznał niewyobrażalną tajemnicę, która została im objawiona w tej przeklętej dżungli.

Modlił się, aby ich poświęcenie nie poszło na marne i aby on sam oraz dwaj młodzi ludzie, którzy wiernie towarzyszyli mu aż do tragicznego finału, zostali kiedyś uznani za tych, którzy dokonali jednego z najbardziej niezwykłych i doniosłych odkryć w dziejach ludzkości.

1

Pewnego listopadowego poranka – osiemdziesiąt pięć lat później.

Moje ręce, mimo grubych neoprenowych rękawic, zdrętwiały z zimna do tego stopnia, że ledwo mogłem poruszać palcami.

Tkwiłem na głębokości siedmiu metrów już od ponad godziny. Pięciomilimetrowa pianka nie dawała rady – przemarzłem do szpiku kości, a widoczność była zerowa z powodu zawiesiny mułu. Nie zauważyłbym przepływającej łodzi, nawet gdyby jej kil uderzył mnie w głowę. Musiałem niemal przytknąć manometr do szyby maski, by zobaczyć, że wskazówka spadła poniżej trzydziestu atmosfer i znalazła się w czerwonej strefie.

Czas uciekał.

Jak zwykle.

Za pomocą potężnego magnetometru Excalibur 1000, przymocowanego do nadgarstka, wydobyłem z gąbczastego mułu tuzin bezwartościowych przedmiotów. Dno morskie przypominało rzadką papkę, a w panujących warunkach trudno było odróżnić wodę od dna. Brnąłem w błocie, kierując się wskazaniami detektora metali, i wrzucałem znaleziska do siatki przytroczonej do pasa balastowego.

Oceniłem, że powietrza zostało mi na jakieś pięć, może dziesięć minut. Mimo że byłem na granicy hipotermii, a organizm domagał się wyjścia z wody i odnalezienia źródła ciepła, ustawiłem detektor na maksymalną czułość i postanowiłem wykonać ostatnie skanowanie. Wiedziałem, że teraz urządzenie zareaguje nawet na żelazne jądro planety.

Próbowałem wyregulować pokrętło mocy, ale zdrętwiałe palce w grubych rękawicach odmawiały posłuszeństwa. Czułem się, jakbym próbował nawlec igłę palcami stóp.

„Kot w rękawiczkach myszy nie złapie" – pomyślałem.

Zdjąłem prawą rękawicę, uważając, żeby jej nie zgubić, i po omacku, w brunatnej mazi, wyczułem małe pokrętło. Przekręciłem je do oporu.

Zgodnie z przewidywaniami, urządzenie natychmiast zaczęło reagować chaotycznie, sygnalizując obecność nawet najdrobniejszych fragmentów metalu. Ignorując te histeryczne piski, czekałem na charakterystyczny, głęboki dźwięk, wskazujący na metal o dużej gęstości.

Trzymając się napiętej liny przymocowanej do ciężaru na dnie, który stanowił mój punkt odniesienia, zataczałem coraz szersze kręgi. Jednocześnie wytężałem słuch, wyczekując charakterystycznego dźwięku, i kontrolowałem manometr, na którym wskazówka spadła poniżej dwudziestu atmosfer. Oddychanie przez automat stawało się coraz trudniejsze.

„Jeszcze minuta i się wynurzam" – pomyślałem.

Wtem, jak na zawołanie, z detektora dobiegł niski, odległy brzęk.

Odwróciłem się gwałtownie, próbując namierzyć źródło sygnału.

Brzmiało to jak bzyczenie osiemdziesięciokilogramowej muchy, dobiegające z odległości stu metrów.

Nie miałem wątpliwości. To było to.

Puściłem magnetometr, który zwisał z nadgarstka, wyciągnąłem małe grabki z kieszeni kamizelki wypornościowej i zanurkowałem głową w dół. Płynąc w kierunku dna, wyciągałem ręce przed siebie, licząc, że poszukiwany przedmiot nie jest zbyt głęboko zagrzebany w mule.

Ponownie zdjąłem rękawice, żeby zyskać lepsze czucie, i zanurzyłem obnażone dłonie w obrzydliwym błocie. Wzburzyłem chmurę osadu, która natychmiast mnie otoczyła, ale w tamtej chwili było mi to obojętne. I tak już prawie nic nie widziałem. Chciałem tylko raz na zawsze mieć to za sobą.

Wypuściłem powietrze z kamizelki, żeby zanurzyć się głębiej. Zdrętwiałymi palcami przeczesywałem gęsty muł. Powietrze z trudem przepływało przez ustnik. Już zaczynałem wątpić, zastanawiając się, czy to aby nie halucynacje, gdy opuszki palców lewej dłoni natrafiły na coś twardego. Odrzuciłem grabki i prawą dłonią chwyciłem znalezisko, żeby nie stracić go w błocie.

Ścisnąłem mocno przedmiot, jak najcenniejszy skarb. Przybliżyłem do oczu i z satysfakcją stwierdziłem, że to właśnie to, czego szukałem

od rana. Po wewnętrznej stronie złotej obrączki wyraźnie widniała data i napis: „M. i J. Razem na zawsze".

Zziębnięty do szpiku kości, mimo pianki, która nie była w stanie ochronić mnie przed przenikliwym chłodem, wdrapałem się wreszcie po zardzewiałej drabince na betonowy pomost.

Rzuciłem przed siebie płetwy i ostatkiem sił stanąłem na nogi, dźwigając na plecach pustą butlę nurkową. Ostrożnie położyłem wykrywacz metali na wilgotnym betonie, a potem z ulgą zrzuciłem maskę, kamizelkę, butlę i ciężarki. Zamknąłem oczy, uniosłem głowę i głęboko zaczerpnąłem świeżego powietrza, wdzięczny za możliwość swobodnego oddychania. Obcisły neopren wciąż krępował moje ruchy, ale to już nie miało znaczenia.

Z ołowianych, nisko wiszących chmur leniwie sączył się drobny deszcz. Nad głową wrzeszczały mewy, tak jak ja protestując przeciwko tej paskudnej pogodzie. Niestety, tę chwilę spokoju przerwał czarny mercedes coupé, który z piskiem opon wpadł na molo i zatrzymał się kilka metrów ode mnie, akurat gdy rozpinałem zamek plecaka.

Z samochodu wysiadł mężczyzna w moim wieku. W oczy rzucał się jego jaskrawy krawat, szary garnitur od znanego projektanta i włosy zaczesane żelem tak gładko, że wyglądały, jakby polizała je krowa.

– Ma pan to? – zapytał, podchodząc bez słowa powitania.

Uniosłem prawą dłoń, prezentując mu złotą obrączkę na małym palcu.

– Długo to trwało – stwierdził, zbliżając się. Bez słowa zdjął mi obrączkę i przyjrzał się inskrypcji.

– To ta, którą z g u b i ł a pańska żona? – zapytałem z sarkazmem.

Zdjął absurdalne w ten pochmurny dzień okulary przeciwsłoneczne i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Wygląda na to, że wszystko się zgadza – oznajmił. – Proszę, pańskie wynagrodzenie – rzekł chłodno i nie patrząc, gdzie poleci, rzucił mi kopertę. Na szczęście byłem czujny i złapałem ją, nim wpadła do wody.

Zanim zdążyłem sprawdzić zawartość, mężczyzna odwrócił się i otworzył drzwi samochodu. Tuż przed wejściem do auta jeszcze raz spojrzał w moją stronę.

– Uważaj, żebyś się nie przeziębił – rzucił kpiąco, niespodziewanie przechodząc na „ty". – Dziś ta wilgoć naprawdę daje w kość.

Stojąc z kopertą w dłoni, patrzyłem, jak uruchamia silnik swojego trzystukonnego sportowego auta. Jedno słowo cisnęło mi się na usta.

– Kretyn.

Ociekając wodą, podszedłem do starego, białego land rovera. Wyjąłem kluczyk spod zderzaka, otworzyłem tylne drzwi i rzuciłem kopertę z pieniędzmi na siedzenie pasażera. Następnie zacząłem się rozbierać.

Zdecydowanie nie przypominało to włóczęgowskiego życia, jakie prowadziłem jeszcze rok temu, ucząc nurkowania turystów w ciepłych krajach, pełnych pięknych kobiet i taniego piwa.

Wciąż nurkowałem, choć to już nie było to samo. Temu zajęciu daleko było do eksplorowania raf koralowych na Karaibach czy w Tajlandii i podziwiania kolorowych ryb. Teraz pracowałem w porcie, w brudnej, tłustej wodzie, czyszcząc kadłuby jachtów lub szukając zgubionych obrączek rozwścieczonych żon.

Od pięciu miesięcy pracowałem jako niezależny nurek, podejmując się różnych podwodnych zleceń, aby zarobić na życie. Szczerze mówiąc, zaczynało mnie to już porządnie męczyć. Taka jednak była moja rzeczywistość. Tęskniłem za palmami i białymi plażami skąpanymi w zachodzącym słońcu, ale gdy odeszła o n a ogarnęła mnie apatia. Straciłem nawet naturalną potrzebę zmiany otoczenia, która wcześniej popychała mnie do podróży co kilka miesięcy.

Mimo wszystko wciąż dziwiło mnie, że po wynurzeniu – zamiast bezkresnego horyzontu – widziałem w oddali sylwetkę pomnika Krzysztofa Kolumba, który zdawał się wskazywać na mnie oskarżycielskim palcem. Za nim wznosiło się wzgórze Montjuïc, nieodłączny element krajobrazu mojej ukochanej – a w takie dni jak ten, znienawidzonej – Barcelony.

2

Ciężkie butle i ołowiane obciążniki zostawiłem w samochodzie, ale nawet bez nich taszczenie reszty sprzętu przez dwie przecznice, z parkingu pod budynek, doszczętnie mnie wyczerpało.

W końcu otworzyłem drzwi niewielkiego mieszkania na poddaszu przy ulicy París, odziedziczonego po ukochanej babci. Ciężką, płócienną torbę rzuciłem za próg, a sam, zrzucając po drodze przemoknięte ubrania, wskoczyłem pod prysznic, licząc na to, że strumień gorącej wody wypłucze z kości przeszywający chłód.

Po długim szorowaniu gąbką poczułem, że wreszcie pozbyłem się brudu portowych wód. Zakręciłem kran, owinąłem się ręcznikiem i stanąłem przed lustrem. Z tafli szkła patrzył na mnie ciemnowłosy mężczyzna – ani przystojny, ani brzydki, wciąż w niezłej formie, choć zmęczony, z wyraźnymi cieniami pod oczami i kilkudniowym zarostem, w którym gdzieniegdzie pobłyskiwała siwizna. W jego wzroku dostrzegłem pytanie, na które dzisiaj nie zamierzałem odpowiadać.

Brązowe oczy zdawały się krzyczeć: „Co ty, do cholery, wyprawiasz?".

Zignorowałem to, jak zwykle. Wytarłem się, a potem, z ręcznikiem przewiązanym w pasie, opadłem na łóżko jak rażony piorunem.

– Pięć minut – mruknąłem do siebie, wtulając twarz w poduszkę. – Tylko pięć minut i wstanę, żeby zrobić obiad.

Oczywiście, tak się nie stało.

Dwie godziny później nadal leżałem nieruchomo, pogrążony w fantazjach o tropikalnych nagoskrzelnych, które niosą w pyskach obrączki ślubne.

Dzwonek telefonu – „I'm Yours" Jasona Mraza – rozbrzmiewał przez dłuższą chwilę, zanim wreszcie oddzieliłem go od sennych fantazji.

Ociągając się, wstałem z łóżka. Lekko się chwiejąc, zacząłem szukać telefonu w wodoszczelnej torbie nurkowej, która wciąż leżała na podłodze. Zanim odebrałem, spojrzałem na ekran. Wyświetlało się na nim tylko jedno słowo: „Mama".

Przyznaję, przez chwilę zawahałem się, czy odebrać. Nie miałem ochoty na kolejną z naszych rutynowych rozmów. Szybko jednak dotarło do mnie, że zignorowanie połączenia skończy się nieustannym dzwonieniem, a wyłączenie telefonu – osobistą wizytą, okraszoną teatralnymi gestami i wyrazami przesadnej troski. Taka już po prostu była.

– Cześć, mamo – odezwałem się, naciskając zieloną ikonę i włączając tryb głośnomówiący.

– Gdzie jesteś? – zapytała z nutą pretensji w głosie.

– W domu. Próbuję się trochę przespać – odparłem zirytowany i wróciłem do sypialni.

– O tej porze?

– Miałem okropny dzień i potrzebowałem... nieważne. – Urwałem, odłożyłem telefon na stolik i z powrotem opadłem na łóżko. – Czego chcesz?

Teraz w jej głosie wyraźnie zabrzmiała uraza.

– Jak to, czego chcę? Przeszkadza ci, że dzwonię?

– Nie, mamo... – odparłem, masując skronie. – Dlaczego miałoby mi to przeszkadzać? Po prostu pytam, po co dzwonisz. Nie bądź taka przewrażliwiona.

Po drugiej stronie linii rozległo się ostentacyjne prychnięcie.

– Dzwonię, żeby zapytać, czy uda ci się w tym tygodniu wpaść do nas na kolację.

– No więc...

– Przecież mi obiecałeś.

– Naprawdę? Kiedy?

– W zeszły wtorek.

– Ach, zapomniałem.

– Doprawdy zaskakujące. – W jej głosie znowu zabrzmiał wyrzut.

– Dobrze, obiecuję, że w tym tygodniu na pewno przyjdę.

– Konkretnie, kiedy?

– Pasowałby ci piątek?

– Sobota o ósmej będzie lepsza. I proszę, ubierz się schludnie. Ostatnio wyglądasz jak włóczęga.

– Co ci to przeszkadza...? – zacząłem, domyślając się już, do czego to zmierza. – Zaraz, czy to znowu jakiś podstęp z córką twojej znajomej?

W odpowiedzi usłyszałem tylko wymowne milczenie.

– Kurde, mamo.

– Najwyższy czas, żebyś kogoś poznał – oznajmiła stanowczo. – Zbyt długo żyjesz jak pustelnik. Lara wydaje się sympatyczna i bardzo chce cię poznać. Nawet lubi podróżować, tak jak ty.

– Mamo, przecież obiecałaś, że przestaniesz mnie swatać. Dobrze mi samemu i nie chcę poznawać żadnych kobiet, nieważne, jak wspaniałe by były. Ile razy mam to jeszcze powtarzać?

Z głośnika telefonu dobiegło głośne westchnienie.

– No dobrze... – poddała się zaskakująco łatwo. – Nie zaproszę Lary, ale mimo wszystko przyjdź dobrze ubrany i ogolony. Ostatnio wyglądasz strasznie niechlujnie.

Cmoknąłem z niechęcią i, rezygnując z dalszej dyskusji, przystałem na jej propozycję.

– Będę. Do soboty, mamo.

– Nie zapomnij – ostrzegła, po czym się rozłączyła.

W mieszkaniu znów zapadła cisza.

Wiedziałem, że matka, wbrew obietnicom, i tak zaprosi tę Larę. A może Laurę? Zresztą, co za różnica. Specjalnie na tę kolację założę najbardziej znoszone ciuchy i oczywiście się nie ogolę. Jak zwykle dziewczyna z wyrazem męczeństwa na twarzy dotrwa do deseru, po czym pożegna się słowami „mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy", brzmiącymi fałszywiej niż obietnice każdego polityka.

Jedno było pewne: w skroniach pulsował mi ledwo wyczuwalny, choć uporczywy ból. Próbując przypomnieć sobie, czy w apteczce został jeszcze ibuprofen, usłyszałem, jak z telefonu ponownie wydobywają się chwytliwe dźwięki gitary Jasona Mraza. Zaczynałem mieć go serdecznie dość.

Ponownie sięgnąłem po telefon i z zamkniętymi oczami odebrałem, przygryzając wargę, by powstrzymać się od przekleństw.

– Przecież mówiłem, mamo, że przyjdę – wymamrotałem sennie. – Daj mi jeszcze pospać.

– Och, przepraszam – odezwał się męski głos. – Oddzwonię później.

– Profesorze? – spytałem, natychmiast się rozbudzając. Rozpoznałem Eduarda Castilla, emerytowanego profesora historii średniowiecznej, mojego przyjaciela i dawnego przyjaciela mojego ojca.

– Nie wiedziałem, że śpisz – przeprosił ponownie.

– Już nie śpię, nieważne. O co chodzi?

Zamiast odpowiedzieć na moje pytanie, sam zapytał: – Jak się czujesz?

– Jakoś leci. To pan brzmi dziwnie. Coś się stało?

Cisza w słuchawce tylko utwierdziła mnie w tym przeczuciu.

– Mógłbyś mnie odwiedzić?

– Jasne, psorze. Kiedy?

Znów zapadła długa cisza.

– Może wpadłbyś na kolację... około dziewiątej?

Profesor, choć dawno po pięćdziesiątce i zazwyczaj pełen energii, mówił tym razem tonem, który mnie zaniepokoił. Obawiałem się, że stało się coś poważnego.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Tak, spokojnie. Przyjdziesz?

– Oczywiście. Będę.

– Dziękuję – powiedział i się rozłączył.

Przez chwilę oszołomiony wpatrywałem się w ekran telefonu. Nie rozumiałem, co się dzieje – i chyba nigdy wcześniej nie słyszałem profesora mówiącego w ten sposób.

Z burczącym żołądkiem i kompletnym brakiem ochoty na gotowanie, zszedłem do pobliskiej chińskiej restauracji, mając nadzieję na późną kolację.

Ulitowali się nade mną i już po dwudziestu minutach zajadałem solidną porcję makaronu *trzy smaki*. Bawiłem się widelcem, cicho skrobiąc nim o talerz, myśląc, że choć moje życie jeszcze nie sięgnęło dna, to i tak powoli tonę, jakbym miał u nóg przywiązaną kotwicę.

Zamyślony, spostrzegłem nagle, że jestem ostatnim gościem w restauracji. Pięć chińskich kelnerek stało ze skrzyżowanymi rękami i wyraźnie zniecierpliwionymi minami. Nie chcąc narażać się na ich niełaskę – i potencjalne konsekwencje podczas kolejnej wizyty – zapłaciłem, zostawiając hojny napiwek i czym prędzej ruszyłem do baru Náufrago.

Ten lokal ukryty w sercu Dzielnicy Gotyckiej, o jakże trafnej nazwie, wydawał się idealnym miejscem, by umilić sobie czas przed spotkaniem z profesorem tequilą reposado.

Niewielki bar na barcelońskiej starówce, z kilkoma stolikami z ciemnego drewna, sepiami z czasów powojennych wiszącymi na ścianach, zmiętymi papierowymi serwetkami i trocinami w kątach, wciąż należał do Antonia Romána. Ten weteran przemytu, który z pewnością zbliżał się do dziewięćdziesiątki, przekazał ów wymagający biznes gastronomiczny swoim wnukom.

Diego, prawdopodobnie jedyny wnuk, który zgodził się przejąć bar, wycierał blat z wyrazem obojętności na twarzy. Wysoki i niezgrabny, w białej koszuli, z kozią bródką i kucykiem, uniósł brew na mój widok. To krótkie powitanie wystarczyło, bym poczuł się jak dawny znajomy.

– Jak leci, Ulisesie? – zapytał, gdy tylko usiadłem przy barze. Nim zdążyłem odpowiedzieć, sięgnął po butelkę José Cuervo stojącą tuż za nim.

– Mogłoby być lepiej.

Nalewając tequilę do kieliszka, rzucił, nie podnosząc wzroku:

– Nie posłuchałeś mojej rady, co?

– Jakiej?

– Jak to jakiej? Że powinieneś do niej zadzwonić.

– Nie mogę.

– Nie chcesz – odparł, kręcąc głową, po czym odwrócił się do klienta, który dopominał się o piwo.

I oczywiście miał rację.

Wbrew mojej woli – choć przyznaję, niewiele zrobiłem, by temu zapobiec – znów ujrzałem w wyobraźni Cassandrę Brooks. Siedziała naprzeciwko mnie przy jednym ze stolików w naszym barze. Ponownie usłyszałem jej cudowny, meksykański akcent i ujrzałem szmaragdowe oczy, które urzekały mnie od dnia naszego poznania aż po pełne żalu pożegnanie, kiedy odchodziła na zawsze, ciągnąc niewielką, czerwoną walizkę przez korytarz mojego mieszkania.

Od tamtej pory czułem się sparaliżowany. Duchowa niemoc i brak woli sprawiły, że moje serce stało się obojętne, a każdego ranka z trudem zbierałem siły, by otworzyć oczy.

Ironią losu było to, że to przeze mnie doszło do naszego rozstania.

Po wielu latach samotnych wędrówek tak bardzo przywykłem do niezależności – życia bez partnerki, w którym nie musiałem z nikim konsultować decyzji ani z niczego się tłumaczyć – że po kilku miesiącach wspólnego mieszkania poczułem nieodpartą potrzebę wolności. Dlatego postanowiłem wyjechać na jakiś czas jak najdalej, w spokojne miejsce, aby na nowo przemyśleć swoje życie, z dala od codziennych śniadań z Cassie.

Wróciłem z Wietnamu po trzech tygodniach. Cassie wciąż była w Barcelonie, ale czułem, że coś się między nami nieodwracalnie zmieniło. Ogarnął mnie trudny do opisania niepokój, który nie ustępował. Wkrótce oboje doszliśmy do bolesnego, lecz nieuniknionego wniosku: musimy się rozstać.

To bolało.

Najbardziej bolało mnie rozczarowanie Cassie. Miałem wrażenie, że cały wysiłek włożony w nasz związek poszedł na marne. Odcięła się ode mnie bezpowrotnie – usunęła mój numer i zablokowała w mediach społecznościowych, dając jasno do zrozumienia, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

Od wspólnych znajomych dowiedziałem się, że odbudowała swoje życie, a przynajmniej karierę. Wróciła do archeologii podwodnej i objęła odpowiedzialne stanowisko na wykopaliskach u wybrzeży Kadyksu, w południowej Hiszpanii.

Ja natomiast tkwiłem w miejscu, niczym stary marynarz patrzący, jak odpływa jego ostatni statek, bez pomysłu na dalsze życie. Przyszłość rysowała się w szarych, ponurych barwach, przypominając deszczowe popołudnie w Barcelonie.

Do niedawna moje dorosłe życie upływało na nieustannych podróżach między zwrotnikami Raka i Koziorożca, bez troski o przyszłość i konsekwencje moich decyzji. W rezultacie niemal zerwałem więzi z przyjaciółmi z rodzinnego miasta. Nieliczni, którzy pozostali, tkwili – tak jak ich zapamiętałem – w małżeństwach i zobowiązaniach, uwięzieni w życiu, którego, jak sądzę, w głębi duszy nie znosili.

Nie miałem ani ochoty, ani cierpliwości, by wysłuchiwać dobrze znanych litanii o problemach małżeńskich, sukcesach synów i złym traktowaniu przez szefów.

Nie chodziło o obojętność. Po prostu sprawy, o których mówili, wydawały mi się tak odległe od mojego życia, że często ich nie rozumiałem, a szczerze mówiąc, rzadko mnie interesowały.

Słysząc nieustannie, jak wielkie mam szczęście, robiąc to, co kocham i żyjąc tak, jak żyję, naiwnie próbowałem przekonać innych, że oni też mogą. Wierzyłem, że wystarczy ustalić priorytety, wyjść poza schematy i sprzeciwić się oczekiwaniom otoczenia, by wybrać to, co naprawdę chcemy robić, i konsekwentnie do tego dążyć. Zachęcałem, by traktować pasję nie jako hobby, lecz jako fundament życia i szukać własnej drogi, zamiast ślepo podążać za tłumem.

Krótko mówiąc, chciałem, żeby żyli pełnią życia.

Niestety, gdy próbowałem zagrzewać innych do działania hasłami w stylu „nie bój się gonić za marzeniami" czy „żyj każdym dniem, jakby był ostatnim", patrzyli na mnie, jak na ogolonego wyznawcę ruchu Hare Kryszna w pomarańczowej szacie, który usiłuje wcisnąć im ulotkę i ciasteczka, nawracając na zasady Bhagawadgity.

Więc to nie miało sensu.

Ironia losu polegała na tym, że w ostatnich miesiącach sam ich nie przestrzegałem.

Nawet wizja powrotu do wędrownego życia – nurkowania i uczenia turystów w egzotycznych miejscach – przestała mnie pociągać. Ten rozdział, choć pełen blasków i cieni, definitywnie się skończył. Musiałem się odnaleźć na nowo i wyznaczyć sobie kolejny cel.

Ale, prawdę mówiąc, nie miałem zielonego pojęcia, jak to zrobić.

Mogłem co najwyżej dopić tequilę i zamówić jeszcze kilka kolejnych.

Zrozumiałem, niestety zbyt późno, że życie bez Cassandry jest trudniejsze niż z nią. Czułem się zagubiony, a usilne namowy matki, bym się pozbierał, i jej bezskuteczne próby znalezienia mi nowej partnerki tylko pogłębiały moją niechęć do szukania zastępstwa dla Meksykanki. Wiedziałem, że nikt nie będzie w stanie jej dorównać.

– Tęsknię za nią – wymamrotałem, wpatrując się bezmyślnie w szklankę.

– Co ty nie powiesz… – odparł ironicznie Diego zza baru.

Z małego głośnika w rogu lokalu sączyło się ciche „Desafinado" João Gilberta. Jego szept był niczym rytmiczne ukłucia igieł, wbijających się w moje serce w rytmie bossa novy.

– Jestem idiotą – stwierdziłem i jednym haustem opróżniłem szklankę.

– Wszyscy tacy jesteśmy – odparł filozoficznie barman.

Alkohol wypalił mi gardło, więc wziąłem głęboki oddech.

– Ale do niej nie zadzwonię.

– Jak uważasz.

Zapadła cisza.

– Co było, to było – rzuciłem, dopijając drugą tequilę.

Diego wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Rób, co chcesz, chłopcze".

Zostawiłem pieniądze na ladzie, pobębniłem palcami po blacie, pożegnałem się i wyszedłem.

Odkąd wróciłem do Barcelony, profesor zapraszał mnie na obiad niemal co tydzień. Przy obficie nalewanym białym winie wspominaliśmy dawne przygody, z rozbawieniem je koloryzując. Tym razem jednak, gdy pchnąłem ciężkie, żelazne drzwi kamienicy w Eixample i wszedłem do mrocznej klatki schodowej, przeszył mnie dreszcz. Ogarnęło mnie złe przeczucie – coś się stało i to coś mogło dotyczyć także mnie.

Stara, drewniana winda z metalową kratą zatrzymała się z szarpnięciem na piątym piętrze. Wyszedłem na słabo oświetlony podest, gdzie w półmroku dostrzegłem wytartą tabliczkę: Profesor Eduardo Castillo Mérida.

Zadzwoniłem, a drzwi otworzyły się niemal natychmiast. W progu stał Eduardo, wierny swojemu stylowi: w kraciastej koszuli, kamizelce i muszce. Tym razem jednak brakowało jego charakterystycznego, szerokiego uśmiechu. Mężczyzna spoglądał na mnie zza staromodnych, rogowych okularów z niepokojem, który malował się w jego przygaszonych, niebieskich oczach.

– Ulises – powiedział, ściskając moją dłoń. – Dziękuję, że mimo wszystko znalazłeś czas. Przepraszam za ten pośpiech.

Wskazał salon i ruszył, więc poszedłem za nim. Usiadłem przy stole, starając się zachować beztroski wyraz twarzy.

Profesor poszedł do kuchni zaparzyć kawę, a mój wzrok powędrował po pomieszczeniu. Natychmiast powróciły wspomnienia o naszych wspól-

nych przygodach – zwłaszcza tych, które rozegrały się przy tym owalnym, ciemnym stole.

W tym domu, jak zawsze, królowały książki. Wypełniały nie tylko regały, ale piętrzyły się też na krzesłach i zalegały w korytarzach, ułożone w niejasnym porządku. Nasycały mieszkanie aromatem starych księgarni, zapachem historii i literatury. Przez szerokie okno po mojej lewej stronie wpadało skąpe, jesienne światło, które oświetlało wielką mapę świata w odcieniach ochry, zajmującą niemal całą przeciwległą ścianę.

– Z mlekiem i trzy łyżeczki cukru – powiedział profesor, wracając z kuchni z tacą, na której stała filiżanka.

Wziąłem ją i w milczeniu czekałem, aż profesor odezwie się pierwszy.

Ten, zamyślony, powoli sączył napój. Cienie pod oczami i zaczerwienione spojrzenie zdradzały jego skrajne wyczerpanie.

– Jak leci, Ulisesie? – zapytał w końcu.

– Dobrze... chyba – odparłem, zaskoczony tak ogólnikowym pytaniem.

– Cieszę się, cieszę się... – mruknął, wpatrując się w fusy na dnie filiżanki.

– Profesorze... – zacząłem, widząc, że nie kwapi się do dalszych wyjaśnień. – Czy mógłby mi pan powiedzieć wprost, po co zostałem wezwany? Darujmy sobie te konwenanse.

Profesor podniósł wzrok i spojrzał na mnie, jakby nagle sobie o mnie przypomniał.

– Ach, przepraszam – powiedział, po raz pierwszy się uśmiechając. – Czy mógłbyś chwilę zaczekać? Zaraz ktoś powinien tu przyjść. – Spojrzał na zegarek.

– Kto ma przyjść?

Wtem rozległ się dzwonek do drzwi. Profesor wstał, by otworzyć.

Z filiżanką kawy w ręku podszedłem do okna, zastanawiając się, kto to może być i co go tu sprowadza. Za szybą rozciągał się widok na ulicę z dwoma rzędami platanów. Niemal ogołocone z liści drzewa usłały chodniki brązowo-żółtym dywanem, który wyraźnie kontrastował z ciemnymi ubraniami przechodniów i szarością okolicznych budynków.

Chmury zwiastowały deszcz. Właśnie wtedy, gdy zacząłem żałować, że nie wziąłem parasola, usłyszałem trzask zamykanych drzwi. Odwróciłem się w stronę korytarza, z którego dobiegał znajomy głos.

– Ulises? – wyszeptała z niedowierzaniem. – Co ty tu, do diabła, robisz?

Stanąłem twarzą w twarz z osobą, której obecności zupełnie się nie spodziewałem. Serce waliło mi jak oszalałe.

– Cześć, Cassie – wymamrotałem oszołomiony, z trudem przełykając ślinę.

3

Cassie siedziała naprzeciwko mnie. Wyglądała równie pięknie, jak ją zapamiętałem. Burza blond loków opadała na jej ramiona, a złocista opalenizna podkreślała intensywną zieleń oczu. Spoglądała na mnie surowo, wyraźnie oczekując wyjaśnień.

– Czy to jakaś zasadzka? – zapytała bez ogródek. – Mam nadzieję, że nie przyleciałam aż z Kadyksu i nie porzuciłam wykopalisk tylko po to, żeby napić się z tobą tej nędznej kawy.

– Nie patrz tak na mnie – odparłem, unosząc ręce w obronnym geście. – Nie spodziewałem się, że tu będziesz.

– Rozumiem. Oczywiście.

– Sugerujesz, że ja to wszystko zaaranżowałem, żeby się z tobą spotkać?

– Posłuchaj – powiedziała, gniewnie mrużąc oczy. – Profesor wezwał mnie pilnie do Barcelony, żądając natychmiastowego przylotu, ale nie wyjaśnił dlaczego. A kiedy dotarłam na miejsce, zastałam ciebie czekającego w jego salonie.

– Cassie – odparłem, starając się zachować spokojny ton – przysięgam na wszystko, co dla mnie święte, że nie...

W tym momencie profesor wrócił z kuchni, niosąc filiżankę kawy dla Meksykanki.

– Chwileczkę – przerwał, pojednawczo unosząc dłoń. – Zanim dojdzie między wami do rękoczynów, pozwólcie, że wyjaśnię cel tego spotkania.

– Zamieniam się w słuch – burknęła archeolożka, krzyżując ramiona na piersi.

Profesor postawił filiżankę na stole i usiadł między nami. Na jego twarzy malowało się wyraźne przygnębienie.

– Zadzwoniłem do was – zaczął z niepokojem w głosie – ponieważ wydarzyło się coś strasznego i potrzebuję waszej pomocy.

Czekaliśmy w milczeniu na dalsze wyjaśnienia.

– Czy wspominałem wam kiedykolwiek o doktor Valerii Renner? – zapytał po chwili, wciąż wpatrując się w blat stołu.

Wymieniliśmy z Cassie spojrzenia i zaprzeczyliśmy ruchem głowy.

– Ach, rozumiem... To było dawno temu i wiedział o tym tylko twój ojciec. – Profesor spojrzał na mnie. – Byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

– Wiedział o czym? – zapytałem zaintrygowany i pochyliłem się w jego stronę.

Profesor mieszał łyżeczką w fusach, jakby szukał w nich odpowiedzi.

– Otóż, Valeria... – chrząknął kilkakrotnie. – Doktor Renner i ja mieliśmy... pewną szczególną więź.

– Naprawdę, profesorze? – Cassie uśmiechnęła się chytrze. – Doprawdy niesłychane.

– Kiedy to było? – spytałem zdziwiony. – Jak to możliwe, że nigdy nie widziałem pana z żadną kobietą?

– To było bardzo dawno temu, Ulisesie.

– Dlaczego nigdy pan o niej nie wspomniał?

Eduardo Castillo, wyraźnie zakłopotany, podrapał się po głowie.

– No więc... – zaczął. – Rozumiecie, zależało mi na dyskrecji i nie chciałem, żeby ktokolwiek na uniwersytecie się o tym dowiedział. Poza tym nie było dotąd okazji, by wam ją przedstawić.

Zmarszczyłem brwi z niedowierzaniem.

– Przez te wszystkie lata nie nadarzyła się ani jedna okazja?

– Valeria jest antropolożką – wyjaśnił niemal przepraszającym tonem – i większość czasu spędza w terenie, prowadząc badania. Prawdziwy powód, dla którego o niej nie wspominałem, jest jednak inny: po prostu nie chce się ze mną spotykać.

– Och, przepraszam – odparła cicho Meksykanka.

– Rozumiem – powiedziałem, pokrzepiająco klepiąc go po plecach. – Masz nas, pomożemy ci przez to przejść. Nie samym chlebem człowiek żyje...

Urwałem, zaskoczony jego zdziwionym spojrzeniem.

– Ale o czym ty właściwie mówisz? Co ma do tego chleb?

– Chciałem pana pocieszyć, profesorze. Rozumiem, że rozstanie sprawia, że świat wydaje się ponury, ale proszę pamiętać, że z czasem na pewno pan kogoś pozna i wtedy... – zawiesiłem głos, mrugając sugestywnie.

– Ulisesie – odparł, prostując się na krześle – jesteś w kompletnym błędzie. Zresztą, oboje jesteście. Nie dzwoniłem, żebyście mnie pocieszali po zawodzie miłosnym. To nie o to chodzi.

– W takim razie słuchamy.

Profesor, jak miał w zwyczaju, wstał, by podkreślić wagę swoich słów, i zaczął przechadzać się po salonie, niczym podczas wykładu.

– Doktor Renner – zaczął, spoglądając przez okno – uchodzi za jedną z najwybitniejszych współczesnych antropolożek. W swoim dorobku ma dziesiątki artykułów, które do dziś stanowią punkt odniesienia dla badaczy, oraz kilka książek, które wywarły ogromny wpływ na rozwój tej dziedziny. – Sięgnął do półki i zdjął gruby, niemal tysiącstronicowy tom. – Weźmy na przykład tę słynną pozycję: „Socjologia i antropologia ludu Chamula".

– O rany! – wykrzyknęła Cassie, pstrykając palcami. – Już wiem! To nazwisko! Kojarzę je z opracowaniem o ludności Tzotzil z południowego Meksyku, które czytałam na studiach.

– Poczekam, aż ktoś na jej podstawie nakręci film – wtrąciłem, choć nikt mnie o to nie pytał.

Profesor odłożył książkę i kontynuował:

– Trzy miesiące temu grupa naukowców, finansowana przez Uniwersytet Wiedeński, wyruszyła na ekspedycję badawczą do słabo zbadanego regionu Amazonii. Celem wyprawy były badania życia i kultury indiańskiego plemienia Menkragnoti. Na czele zespołu stanęła Valeria. – Profesor wziął głęboki oddech. – Valeria to doświadczona antropolożka, z bogatym doświadczeniem pracy w odległych zakątkach świata. Dlatego, gdy ani ona, ani nikt z jej zespołu nie nawiązał planowanego kontaktu przez telefon satelitarny, natychmiast wszczęto alarm. Co gorsza, niepokoi nie tylko brak połączenia satelitarnego, ale wręcz całkowity brak jakiegokolwiek kontaktu z ekspedycją.

– Czy nie mogli po prostu zgubić telefonu? A może uległ awarii? – zapytała Meksykanka.

Eduardo Castillo oparł się na krześle i spojrzał na nas z powagą.

– Minęły już dwadzieścia trzy dni, więc powinni byli znaleźć jakiś alternatywny sposób kontaktu. Valeria jest przecież bardzo pomysłowa.

– Sugeruje pan, że zaginęli?

– Ostatni kontakt mieliśmy prawie miesiąc temu, jak już wspomniałem – potwierdził, unikając naszego wzroku. – Od tamtej pory nie dali znaku życia.

– A policja? – zapytała Cassie. – Co na to brazylijska policja? Czy prowadzi poszukiwania?

– Tłumaczą się rozległością i trudnym terenem, a także brakiem wystarczających środków i personelu, by zorganizować poszukiwania.

– Nie ma tam żadnej organizacji, która mogłaby pomóc? – zapytałem zaskoczony. – Ambasady, Czerwonego Krzyża, czegokolwiek?

Profesor powoli pokręcił głową.

– Niestety, nikogo. Nie ma żadnej instytucji, do której moglibyśmy się zwrócić.

Wyglądał na głęboko zasmuconego. Gdybym go nie znał, pomyślałbym, że zaraz się rozpłacze.

– Przykro mi, profesorze – powiedziałem, współczując mu. – Naprawdę mi przykro. – Spojrzałem na Cassie, szukając poparcia: – Jeśli moglibyśmy jakoś pomóc...

Nagle mężczyzna podniósł gwałtownie głowę. W jego niebieskich oczach zapłonęła determinacja.

– Pojedźcie ze mną.

– Dobrze – odparłem. – Tylko dokąd?

Nie spuszczając ze mnie wzroku, wskazał wiszącą za sobą mapę świata.

– Do Amazonii, Ulisesie. Musimy odnaleźć Valerię.

4

– Proszę powtórzyć – wykrztusiłem, wciąż oszołomiony tym, co usłyszałem. Nie mogłem w to uwierzyć.

Profesor podszedł bliżej, oparł dłonie o stół i spojrzał po kolei na każdego z nas.

– Jadę do Amazonii szukać Valerii – powtórzył z naciskiem. – I chcę... a właściwie, potrzebuję waszej pomocy. Chciałbym, żebyście mi towarzyszyli.

– Niech mi pan wybaczy – wtrąciła Cassie, unosząc ręce – ale obawiam się, że nie zdaje pan sobie sprawy z powagi sytuacji.

Profesor opadł ciężko na krzesło.

– Jeśli się tym nie zajmę, nikt tego nie zrobi. Wiem, że moje szanse wzrosną, jeśli pojedziecie ze mną.

– Nawet gdyby pan zabrał ze sobą całą piechotę morską, to niczego by to nie zmieniło – tłumaczyła cierpliwie Meksykanka. – Amazonia jest zbyt rozległa. Próba namierzenia tam kogoś to jak szukanie igły w stogu siana albo nawet monety zgubionej gdzieś w Hiszpanii.

– Zdaję sobie sprawę, że to trudne – odparł spokojnie. – Dlatego właśnie potrzebuję waszej pomocy. Doskonale znacie tę dżunglę.

– Przepraszam, profesorze, ale pozwolę sobie pana poprawić – wtrąciłem. – Co prawda wiele przeszliśmy z Cassie, ale nigdy nie byliśmy razem w Amazonii. Zresztą, o ile wiem, żadne dżungle, czy to w Ameryce Środkowej, czy w Azji, nie dorównują jej rozległością. Poza tym Cassie ma rację. Mówimy o niemal pięciu milionach kilometrów kwadratowych nieprzeniknionej puszczy. Tam cały kraj mógłby zniknąć bez śladu.

– Nie powiedziałem, że się zgubiła – przerwał profesor, poprawiając mnie. – Powiedziałem, że zniknęła.

– A jaka to różnica?

– Taka, że ona przynajmniej wie, gdzie jest. A skoro wiemy, gdzie była miesiąc temu, to obszar poszukiwań znacznie się zawęża.

– Ale mimo wszystko…

– Ulisesie, wiem, że to brzmi jak szaleństwo – zaczął, łapiąc oddech – sam ledwo w to wierzę. Ale muszę… muszę ją odnaleźć.

Przez dłuższą chwilę trwaliśmy w milczeniu, jakby oderwani od rzeczywistości – a przynajmniej ja tak to odczuwałem. Miałem dziwne wrażenie, jakby w tej układance brakowało kluczowego elementu.

W końcu Cassie zabrała głos.

– Jest jedna rzecz, której nie rozumiem – powiedziała, wpatrując się uważnie w profesora. – Pańskiego poczucia odpowiedzialności za tę kobietę. Gdyby mój były chłopak zniknął i urwał kontakt, szczerze mówiąc, nie sądzę, żebym ruszyła na drugi koniec świata, by go szukać.

– Dobrze wiedzieć – mruknąłem pod nosem.

Meksykanka zamiast odpowiedzieć, odwdzięczyła mi się bolesnym kopniakiem w piszczel.

– To prawda – przyznał profesor z zamyśleniem. – Ale ona jest dla mnie najważniejsza na świecie. Doktor Renner i mnie… no cóż, łączy nas…

– Co takiego? – spytałem niecierpliwie.

Podniósł wzrok i spojrzał na nas z lekkim zakłopotaniem.

– Valeria to moja córka.

Cassie i ja zamarliśmy z zaskoczenia. Nikt z nas nie przypuszczał, że profesor kiedykolwiek był w poważnym związku. Wszyscy, którzy go znali, byli przekonani, że poświęcił się bez reszty pracy jako profesor historii średniowiecza. A tu nagle – sekretna córka. To wydawało się po prostu nieprawdopodobne.

Kilka minut później nadal tkwiłem w osłupieniu, niezdolny zebrać myśli i wydusić słowa. Czułem się tak, jakbym przed chwilą usłyszał od matki, że jestem synem Ducha Świętego.

– A… ale jak to możliwe? – wykrztusiłem wreszcie.

Profesor obserwował nasze zakłopotanie z lekkim rozbawieniem. W kącikach jego ust pojawił się ledwo zauważalny uśmiech.

– No cóż… – wzruszył ramionami. – Nikt wam nigdy tego nie wyjaśnił?

– Proszę nie żartować. Dlaczego wcześniej pan o tym nie wspomniał?

Profesor podrapał się po głowie, teraz już lekko zmieszany.

– Lorenę Renner, jej matkę, poznałem jeszcze na studiach, pod koniec lat siedemdziesiątych. – Zamilkł na chwilę, jakby przenosząc się myślami trzydzieści lat wstecz. – Lorena była olśniewająco piękna i niezwykle inteligentna. Niestety, trudny charakter sprawiał, że większość studentów z wydziału wolała jej unikać, szukając łatwiejszych znajomości. Pewnego dnia spotkaliśmy się na studenckiej imprezie i po kilku drinkach okazało się, że świetnie się rozumiemy. Zaproponowałem, że ją odprowadzę... Dziewięć miesięcy później urodziła się Valeria.

– Owoc jednej nocy namiętności – skomentowała Cassie.

Profesor spuścił wzrok i ciężko westchnął.

– Coś w tym rodzaju – przyznał. – Jej matka i dziadkowie, mimo moich usilnych próśb, nigdy nie zgodzili się, bym ją zobaczył.

– Nie mógł pan poznać własnej córki? – Archeolożka wykrzyknęła, wyraźnie zaskoczona.

– Aż do jej osiemnastych urodzin... – wymamrotał ze smutkiem. – Potem stałem się dla niej kimś obcym. Kiedy Lorena zaszła w ciążę, zaproponowałem małżeństwo, uznanie ojcostwa i pokrycie wszelkich kosztów, ale konsekwentnie odmawiała, tłumacząc, że nie chce naprawiać jednego błędu kolejnym. Dała córce swoje nazwisko i zadbała o to, by ta nigdy się o mnie nie dowiedziała.

Mój stary przyjaciel oparł dłonie na stole i zamyślił się, jakby wspominał coś ważnego.

– Profesorze, bardzo mi przykro – powiedziałem szczerze, kładąc dłoń na jego ramieniu. – I od tamtej pory jej pan nie widział?

– Valerii? Och, spotkałem ją jakieś dwa lata temu... na pogrzebie jej matki.

Wsunął palce do kieszeni koszuli i wyjął fotografię, którą pokazał Cassie.

– Zrobiliśmy je właśnie wtedy – wyjaśnił. – To jedyne zdjęcie, na którym jesteśmy razem.

– Jest bardzo ładna – skomentowała Meksykanka, kiwając głową. – I ma pańskie oczy.

Zaintrygowany, wziąłem fotografię do ręki. Po lewej stronie widniał profesor w garniturze i czarnym krawacie. Po prawej stała kobieta,

około trzydziestoletnia, również ubrana na czarno i niemal dziesięć centymetrów wyższa od mężczyzny. Jak słusznie zauważyła Cassie, była niezwykle atrakcyjna. Uwagę przyciągała jej jasna, lekko piegowata cera, długie, proste, czarne włosy opadające na twarz o stanowczych rysach: szerokiej szczęce, wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych, smutnym uśmiechu i zadartym nosie. Najbardziej hipnotyzujące były jednak jej olśniewające, granatowe oczy, które nieruchomo wpatrywały się w obiektyw.

– Niewątpliwie urodę odziedziczyła po matce – powiedziałem, podając mu fotografię.

Cassie nachyliła się i ujęła jego dłoń.

– Bardzo mi przykro, profesorze. To naprawdę smutna historia.

Eduardo spojrzał na nas zaczerwienionymi oczami.

– Czy teraz rozumiecie, dlaczego muszę jej szukać?

Przez dłuższą chwilę trwaliśmy w milczeniu. Profesor Castillo pogrążony był w myślach o Amazonii. Ja wpatrywałem się w niego, niepewny, co o tym wszystkim myśleć, a Cassie obserwowała mnie, jakby wyczuwała moje zamiary.

– Dobrze, profesorze – westchnąłem. – Nic mnie tu nie trzyma, więc jeśli uważa pan, że mogę się przydać, pojadę...

– Ja też jadę – wtrąciła Cassie, zanim zdążyłem skończyć.

– Dziękuję – mruknął profesor, spoglądając na nas z ulgą i wdzięcznością. – Wiedziałem, że mogę na was liczyć.

– A co z twoją pracą? – spytałem, odwracając się do archeolożki. – Przecież wspominałaś o wykopaliskach w Kadyksie.

– To moja sprawa – odparła buntowniczo. – Klasyfikacją znalezisk z dna morskiego mogą zająć się inni. Najbliższe miesiące chcę poświęcić czemuś innemu.

Profesor wstał, wyraźnie zadowolony.

– W takim razie uważam to za ustalone – oznajmił, składając ręce. Po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się uśmiech, a w oczach zatańczyła iskierka nadziei. – Ruszamy do Amazonii.

– Proponuję spotkanie jutro, żeby omówić szczegóły logistyczne. Po ustaleniu wszystkich kwestii będziemy gotowi do wyjazdu w ciągu tygodnia.

Profesor odchrząknął ostentacyjnie, lustrując nas badawczo znad okularów.

– Właściwie – powiedział cicho – myślałem o wyjeździe jeszcze wcześniej.

– Jeszcze wcześniej? – zapytałem podejrzliwie. – O ile?

Eduardo Castillo zerknął na zegarek i oznajmił jakby od niechcenia:

– Wylatujemy jutro o siódmej, więc mamy jeszcze… jakieś dziewięć godzin.

Cassie uniosła brwi ze zdumienia.

– Jak to? – zapytała zdezorientowana, spoglądając na mężczyznę. – Przecież dopiero przed chwilą ustaliliśmy, że…

Profesor puścił do niej oko i uśmiechnął się figlarnie.

– Bilety kupiłem wczoraj. Byłem pewien, że się zgodzicie.

5

Dwadzieścia siedem godzin po naszej kawie w mieszkaniu profesora wysiedliśmy z airbusa linii Varig na rozgrzany pas startowy.

Opuściliśmy chłodną Barcelonę pod ołowianym, straszącym deszczem niebem. Z lekkim niepokojem skierowaliśmy się ku niskiemu, kremowemu budynkowi z wielkim, złotym napisem „Aeroporto de Santarém". Powietrze, wilgotne i gęste od upału, przesycone było wonią dżungli, rzeki i kerozyny. Na zachodzie słońce zawisło nad zieloną linią drzew, niczym gigantyczny, bursztynowy semafor, ostrzegając przed niebezpieczeństwem, którego jeszcze nie przeczuwaliśmy.

Podczas krótkiego przejścia do terminala pomagałem profesorowi zachować resztki godności, prowadząc go niczym pijanego przyjaciela i usiłując utrzymać w pionie.

Wciąż lekko oszołomiony po wyraźnym przedawkowaniu środków uspokajających, które brał przed każdym lotem, profesor zataczał się niebezpiecznie.

– No już, profesorze, proszę się ocknąć – powtarzałem co chwilę, podtrzymując mężczyznę. – Sam go nie zaciągnę do hotelu w takim stanie.

– Biedak... – westchnęła Cassie, idąca przed nami z trzema torbami. – Jeszcze nie doszedł do siebie po tych tabletkach. Dajmy mu chwilę.

– Jeszcze więcej czasu? Wlałem w niego cztery Red Bulle. Powinien tryskać energią.

– Co zrobiłeś?! – Zatrzymała się gwałtownie.

– A co miałem zrobić? Wysłać go na odtrucie?

– Kretyn! Przy takiej dawce leków i kofeiny mogłeś go zabić.

– Daj spokój, nie przesadzaj.

Profesor podniósł głowę i spojrzał na nas znad okularów.

– Jesteśmy już na miejscu? – zapytał drżącym głosem, rozglądając się nieobecnym wzrokiem.

– Witamy w Brazylii, profesorze – powiedziała Cassie, podchodząc i stawiając torby na ziemi. – Jak się pan czuje?

Castillo zamrugał, obserwując samolot, z którego właśnie wysiedliśmy. Potem przeniósł wzrok na błękitne niebo, a następnie na własne palce, które kilkakrotnie rozprostował i zacisnął, jakby testował ich sprawność.

– Chyba dobrze – wydukał. – Ale dlaczego tak się trzęsę?

Podróż taksówką z lotniska do hotelu, przez peryferia Santarém, nie należała do przyjemnych. Za oknem rozpościerał się przygnębiający widok rozległych slumsów. Nędzne domy, często wzniesione z płyt wiórowych i prowizorycznie zabezpieczone folią oraz brezentem, ciągnęły się aż po horyzont.

Wzdłuż glinianych uliczek rozciągały się licho sklecone zabudowania. Uliczki te, w porze deszczowej, z pewnością zamieniały się w błotniste grzęzawiska pełne śmieci. Co jakiś czas mijaliśmy osoby o rdzennych rysach: ubłocone, na wpół nagie dzieci, kobiety dźwigające ciężkie kosze oraz mężczyzn siedzących bezczynnie pod drzewami, otoczonych stertami pustych puszek po piwie.

Po dwudziestu minutach dotarliśmy do eleganckiego, pobielonego centrum miasta. Zatrzymaliśmy się przed hotelem Brasil Grande, zostawiliśmy bagaże w pokojach i umówiliśmy się na kolację za godzinę. Z lekkim zaskoczeniem stwierdziłem, że dostałem pokój dwuosobowy – tylko dla siebie. Ogromne łóżko stało tuż pod oknem. Niemal nie zamykając drzwi, rzuciłem się na nie.

Po krótkiej chwili wytchnienia wziąłem orzeźwiający prysznic, włożyłem ulubioną hawajską koszulę i o siódmej wieczorem zszedłem do jadalni, gdzie czekali już przyjaciele.

Profesor uprzejmie wstał od stołu, aby się ze mną przywitać.

Przyglądając mu się od stóp do głów, z trudem powstrzymywałem uśmiech...

– Dzień dobry, psorze – przywitałem się. – Skąd ten strój? Wygląda pan jak afrykański odkrywca. Znowu szukamy Livingstona?

Mężczyzna zerknął na swoje ubranie w kolorze khaki.

– To strój do tropików – wyjaśnił, wygładzając koszulę. – Najlepszy, jaki mieli w sklepie.

– Wygląda pan, jakby wybierał się na safari do Kenii.

– Nie każdy ma tak wyrafinowany gust jak ty – odparł z krzywym uśmiechem, spoglądając w moją stronę. – Aha, i jeszcze jedno: dzwonili z recepcji, muzyk od marakasów z orkiestry prosi o zwrot koszuli.

Po tej wymianie uszczypliwości, której Cassie przysłuchiwała się z rozbawieniem, usiedliśmy, a chwilę później podszedł do nas oschły kelner, by przyjąć zamówienie. W oczekiwaniu na kolację postanowiliśmy przedyskutować kilka mniej jasnych kwestii związanych z naszą podróżą.

Spotkanie u profesora skończyło się dość szybko, ponieważ musiałem wracać do domu, by się spakować. W trakcie lotu mój przyjaciel poczuł się na tyle źle, że stracił pamięć i nie potrafił sobie przypomnieć nawet swojego numeru telefonu. W efekcie bazowaliśmy jedynie na informacjach, które dzień wcześniej przekazał nam w swoim salonie. Siedząc w hotelowej restauracji, oddalonej o kilka przecznic od Amazonki, rozmyślałem nad kilkoma nurtującymi mnie pytaniami.

– Profesorze – zacząłem, nalewając wodę do kieliszka – czy wie pan, ilu członków liczyła ekspedycja pańskiej córki?

– O ile dobrze pamiętam – odparł, drapiąc się po brodzie – było ich sześciu, może siedmiu. Archeolog, antropolog, lekarz, przewodnik i dwóch, ewentualnie trzech pomocników.

– Rozumiem. Czy o nich również nie ma żadnych wieści?

– Niestety, nie.

– Czy ktoś poza nami próbował zorganizować poszukiwania?

To pytanie wywołało u profesroa wyraźne zaniepokojenie. Poruszył się nerwowo na krześle.

– Tak – przytaknął. – Uniwersytet, który finansował badania, organizuje ekspedycję ratunkową. Przyznali jednak, że przygotowania potrwają jeszcze kilka tygodni, a Valeria może nie mieć tyle czasu.

– Rozumiem – mruknęła Cassie. – Zastanawiam się, czy wysłanie ekspedycji w tak odległe miejsce, z tak małą grupą – liczącą zaledwie siedem osób – i jednym telefonem komórkowym jako jedynym środkiem łączności ze światem, nie było... delikatnie mówiąc... nierozważne.

– Pochopne – dopowiedział profesor Castillo. – Z tego, co wiem, wyruszyli niemal natychmiast, bez należytego planu i zabezpieczeń.

– Skąd ten pośpiech? – zapytałem.

Profesor opadł na krzesło i zmęczonym gestem przetarł twarz. Zdjął rogowe okulary i odłożył je na stół.

– Musicie wiedzieć o jeszcze jednej rzeczy – zaczął. – Region, do którego zmierzamy, terytorium Menkragnoti, za kilka tygodni zniknie.

6

Siedzieliśmy z Meksykanką w osłupieniu, oniemiali po tym, co usłyszeliśmy.

– Przepraszam, czy mógłby pan powtórzyć? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Powiedziałem – odparł profesor, nachylając się bliżej – że w ciągu kilku tygodni to terytorium przestanie istnieć.

– Nie rozumiem – wtrąciła zdezorientowana Cassie. – O czym pan mówi? Jak, u licha, cały region może tak po prostu zniknąć?

Profesor bez słowa otworzył żółtą teczkę i rozłożył na stole mapę dorzecza Amazonki w skali 1:500 000.

– To tutaj – oznajmił, wskazując na rozległy obszar – rozciąga się terytorium Menkragnoti. Leży ono około siedemset kilometrów na południe od Santarém, najbliższego miasta, oraz tysiąc siedemset kilometrów na zachód od Salvador de Bahía i atlantyckiego wybrzeża. Ten odizolowany i niemal dziewiczy fragment dżungli, choć niewielki w skali Amazonii, dorównuje powierzchni Austrii. Jest całkowicie odcięty od świata, pozbawiony łączności i w dużej mierze niezbadany. Kiedy tam dotrzemy – dodał, podnosząc wzrok – w razie problemów będziemy zdani tylko na siebie i na Menkragnoti, bo na pomoc z zewnątrz nie mamy co liczyć.

Zaczekał, dając nam czas na przemyślenie jego słów. Następnie wskazał palcem na nieregularną, niebieską linię przecinającą terytorium z południa na północ.

– To rzeka Xingu – mówił dalej. – Jedna z największych na świecie, choć formalnie pozostaje dopływem Amazonki. Przepływa przez tereny zamieszkiwane przez Indian Menkragnoti. Przez stulecia była dla nich źródłem życia, by w końcu stać się przyczyną nieszczęść.

– Mógłby pan wyjaśnić? – zapytała Cassie, z zainteresowaniem pochylając się nad mapą.

– Otóż – zaczął, wciąż wskazując na rzekę – kilka lat temu potężna brazylijska firma budowlana, AZS, za cichym przyzwoleniem rządu, postanowiła wykorzystać potencjał tego rozległego dorzecza. Buduje ogromną zaporę hydroelektryczną w środkowym biegu rzeki, co spowoduje zalanie tysięcy kilometrów kwadratowych dżungli, w tym całego terytorium plemienia Menkragnoti.

– Cholera! – wykrzyknąłem. – Kiedy planują otworzyć tę zaporę?

– Już to zrobili – odparł ze zmartwioną miną. – To tylko kwestia czasu, zanim woda zacznie się podnosić.

Cassie spojrzała na profesora.

– Czy to dlatego wyprawa Valerii rozpoczęła się w takim pośpiechu i bez należytych przygotowań?

– Dokładnie tak – przytaknął, wzdychając ciężko. – Valeria pragnęła zbadać Menkragnoti i ocalić to, co pozostało z ich pradawnej kultury, zanim zostaną wypędzeni ze swoich ziem, a pamięć o nich zginie bezpowrotnie. Profesor oderwał wzrok od mapy, a jego szczęka wyraźnie się zacisnęła. – Teraz naszym zadaniem jest odnaleźć moją córkę zanim cały ten region zniknie pod wodą.

Po skromnej kolacji, której niemal nie tknęliśmy zbyt pochłonięci myślami o nadchodzących trudnościach, uprzątnęliśmy stół i rozłożyliśmy mapę na obrusie.

– Dobrze – powiedział profesor. – Z tego, co wiemy, Valerię po raz ostatni widziano właśnie tutaj. – Wskazał na mapie czarny krzyżyk, oznaczający osadę Menkragnoti położoną nad brzegiem rzeki Xingu.

Samotny punkt, ledwie widoczny ślad ołówka pośrodku niczego, dzieliło pięćset kilometrów od najbliższej drogi.

– Rozumiem... – mruknąłem. – Ale jak, do licha, mamy tam dotrzeć? Nie widzę tu żadnej drogi.

– Właśnie – odparł profesor. – Nie ma tam dróg, ścieżek, nic.

– A rzeka? – wtrąciła Cassie. – Zazwyczaj w takich miejscach to najprostszy sposób podróżowania.

– To nasza jedyna opcja, choć ma pewną wadę.

– Jaką?

Profesor Castillo pochylił się nad mapą i wskazał długopisem:

– Widzicie te niebieskie punkty wzdłuż rzeki Xingu?

– Gdzie jest napisane „cachoeiras"?

– „Cachoeiras" znaczy „wodospady" – wyjaśnił profesor. – Na rzece jest ich siedemnaście. Niektóre mają kilkadziesiąt metrów wysokości i wszystkie stanowią przeszkodę nie do pokonania.

– Jak w takim razie przepłyniemy rzekę z wodospadami?

– Podobnie jak moja córka – odparł profesor, starając się brzmieć pewnie – popłyniemy statkiem rzecznym w górę Amazonki do Belo Monte u ujścia Xingu, a stamtąd małymi łodziami do São Félix do Xingu. Ostatni etap pokonamy pirogą, aż dotrzemy do indiańskiej wioski.

Cassie zmarszczyła brwi.

– Przepraszam, profesorze, chyba coś mi umknęło. Kiedy planujemy ominięcie wodospadów?

Profesor lekko poklepał Cassie po plecach i odparł z szerokim uśmiechem:

– Na tych odcinkach będziemy musieli przetransportować sprzęt lądem. – Widząc niedowierzanie na twarzy dziewczyny, dodał: – Spokojnie, nie zrobimy tego sami. Wynajmiemy tragarzy, którzy pomogą nam z pirogami i ekwipunkiem.

Plan wydawał się ekscytujący, ale coś nadal budziło moje wątpliwości.

– Ile czasu, pana zdaniem, zajmie nam dotarcie na miejsce tą trasą? – zapytałem.

– Trudno powiedzieć – wymamrotał, ponownie wpatrując się w mapę. – Szacuję, że około piętnastu, może dwudziestu dni.

– To bardzo długo – zauważyłem, kręcąc głową.

– Wiem – przyznał. – Ale nie ma szybszej drogi. Jak już mówiłem, to jedno z najbardziej niedostępnych miejsc...

– A z powietrza? – wtrąciłem. – Dlaczego nie możemy polecieć samolotem?

Profesor Castillo pokręcił głową, wskazując na zielony obszar na mapie.

– To niemożliwe – stwierdził. – Jak widzisz, nie ma tam żadnych pasów startowych, a dystans jest zbyt duży dla helikoptera.

– Helikopter rzeczywiście mógłby nie dać rady, ale samolot już tak.

– Ulisesie, chyba mnie nie słuchasz. Powtarzam, nie ma tam żadnych pasów startowych. Sprawdzałem to, nie mielibyśmy gdzie wylądować.

Podniosłem wzrok znad mapy i uśmiechnąłem się z przekąsem.

– A kto mówił o lądowaniu?

7

Następnego dnia, po zaopatrzeniu się w mieście w niezbędny sprzęt i prowiant, postanowiliśmy jak najszybciej wyruszyć w dół rzeki. Dzięki temu, zaledwie dwadzieścia cztery godziny po przybyciu do Santarém, czekaliśmy już w porcie rzecznym na wejście na pokład statku Bahía do Guajará.

Była to typowa amazońska łódź pasażerska: długa na około trzydzieści metrów i szeroka na zaledwie pięć. Zbudowana z drewna i pomalowana na biało-niebiesko, z dwoma zadaszonymi pokładami chroniącymi podróżnych przed słońcem i deszczem, przypominała raczej pływający dom niż statek. Uderzyła mnie liczba pasażerów tłoczących się tego popołudnia na pokładzie, obładowanych tobołkami, podróżujących ze zwierzętami i dziećmi. Przede wszystkim jednak moją uwagę przykuł widok hamaków, które, zawieszone jeden nad drugim, chaotycznie wypełniały całą przestrzeń.

– Uważaj! – zawołał z pokładu profesor, wskazując na małą, czarną walizkę, którą niosłem. – W środku jest GPS i telefon satelitarny – nasza jedyna łączność ze światem.

– Spokojnie, profesorze – odparłem, stawiając ostrożnie stopę na wąskim trapie łączącym nabrzeże ze statkiem. – Obchodzę się z nią jak ze swoim własnym dzieckiem.

Za moimi plecami Cassie prychnęła z wyraźnym niezadowoleniem.

– Mam nadzieję, że nie... – mruknęła pod nosem. – Bo gdybyś miał dziecko, pewnie byś je porzucił i wyjechał do Wietnamu, żeby „przewartościować" życie.

Udałem, że nie słyszę jej złośliwości, rozumiejąc tkwiący za nią żal. Wiedziałem, że to nie będzie ostatni tego typu komentarz podczas naszej wyprawy.

Po zostawieniu plecaków, sprzętu i porannych zakupów w zarezerwowanej kabinie, zanieśliśmy wszystko na pokład.

Statek płynął z Santarém do Belo Monte w dół rzeki Xingu.

– Cholera… – westchnąłem, rozglądając się. – Ale tłumy.

– Masakra – przyznała Cassie, równie zaskoczona. – Wygląda na to, że jest tu dwa razy więcej ludzi, niż być powinno. Dobrze, że mamy kabinę.

– Na szczęście – odparł profesor, spoglądając na klucz odebrany w biurze. – Mamy apartament numer jeden.

Jednak nasz optymizm szybko wyparował, gdy stanęliśmy przed odrapanymi drzwiami z numerem „1" napisanym odręcznie długopisem. Po ich otwarciu profesor tylko mruknął:

– Do jasnej…

– Ja tu spać nie zamierzam – oświadczyła Cassie, wychylając się zza jego pleców i zaglądając do środka.

Apartament okazał się duszną klitką z dwoma łóżkami piętrowymi. Maleńkie okienko nad drzwiami z trudem wpuszczało światło, a pod ścianą leżała sterta brudnych materacy. Z sufitu zwisała nędzna żarówka. Od razu uderzył nas mdły zapach wilgoci. Z drugiego końca pokoju obserwowały nas dwa bezczelne karaluchy, najwyraźniej zaskoczone naszą obecnością.

– To oburzające – stwierdziłem, zerkając przez ramię profesora, w momencie gdy silniki statku z rykiem weszły na pełną moc. – Naprawdę nie mogli się postarać chociaż o czekoladkę na poduszce?

Ostatecznie uznaliśmy, że kabina będzie naszym magazynem. Następnie, podobnie jak pozostali pasażerowie, zaczęliśmy rozglądać się za miejscem do rozwieszenia hamaków, które – wraz z prowiantem i częścią sprzętu obozowego – przezornie kupiliśmy rano w mieście.

Zanim na dobre się rozgościliśmy, zapadł zmrok. Niebo pociemniało, a załoga zaczęła rozstawiać stare, plastikowe stoły, zamieniając pokład spacerowy, który miał być naszą sypialnią, w prowizoryczną jadalnię.

– Ulises – zaczęła Cassie – udało ci się w końcu załatwić ten lot?

– Ach, tak – odparłem, klepiąc się w czoło. – Zapomniałem wam powiedzieć. Czekają na nas w Belo Monte; jak tylko tam dotrzemy pojutrze.

– *Órale*. Świetnie.

– Fantastycznie… – wymamrotał profesor, wyraźnie bez przekonania.

– Niech pan da spokój, profesorze – spróbowałem go rozweselić. – Proszę się nie krzywić, będzie fajnie.

Cassie uśmiechnęła się, szturchając mnie lekko.

– Muszę przyznać, że kiedy usłyszałam o zmianie planów, pomyślałam, że kompletnie zwariowałeś. Wyobraziłam sobie, że każesz nam robić coś szalonego, na przykład skakać ze spadochronem.

– No cóż – odparłem, wzruszając ramionami z udawaną niewinnością – wodowanie to jednak nie to samo co lądowanie... Choć zastanawiam się, czy wodowanie na rzece ma jakąś specjalną nazwę. Może „rzekowanie"?

– Mniejsza o to – machnęła ręką. – Najważniejsze, że oszczędzamy w ten sposób całe dni żeglugi pirogą, a hydroplan podrzuci nas prosto pod wioskę Menkragnoti. Przy okazji, trudno ci było przekonać firmę budowlaną do wynajęcia tego hydroplanu?

– Początkowo kategorycznie odmawiali, pomimo moich usilnych próśb i podkreślania wagi sytuacji. Wyjaśniłem, że wynika ona w dużej mierze z ich wcześniejszych zaniedbań dotyczących tamy i że to właśnie ich piloci najlepiej znają teren. W odpowiedzi zagrozili konsekwencjami prawnymi, powołując się na ochronę obszaru i inne tego typu argumenty. Stanowczo sprzeciwili się jakiemukolwiek lotowi.

– Serio? – spytała, unosząc brwi. – Więc jakim cudem ostatecznie udostępnili nam ten hydroplan za darmo?

– Odparłem, że nie interesują mnie ich prawne wykręty i znajdę innego pilota. Zagroziłem, że nagłośnię ich karygodne zachowanie podczas akcji ratunkowej, co może skutkować problemami i utratą wizerunku, co z pewnością będzie ich drogo kosztować. Mimo to wciąż odmawiali. Ale w końcu, dwie godziny później, zadzwonił dyrektor wyższego szczebla, przeprosił za „nieporozumienie" i zaoferował samolot z pilotem, który wysadzi nas we wskazanych współrzędnych i wróci na sygnał z telefonu satelitarnego. – Uśmiechnąłem się, pokazując kciuk w górę.

– To będzie bułka z masłem.

Nagle błyskawica, niczym złowieszczy znak, rozdarła niebo nad Bahía do Guajará, a zaraz potem z hukiem lunął ulewny deszcz.

8

Dzień obudził nas bezchmurnym niebem i oślepiającym blaskiem słońca, które odbijało się od dziobu statku. Po obu stronach rzeki, za pasmem spokojnej, brunatnej wody, dżungla rysowała na horyzoncie ciemną, cienką linię. Ta nieregularna, zielona krawędź oddzielała rzekę od nieba, tworząc wrażenie sztucznej bariery, która uniemożliwiała im połączenie. Pomiędzy błękitem nieba a brązem wody sunął niepozorny, drewniany statek, zawieszony między dwoma światami i zdający się leniwie płynąć w nieznane.

Zanim wstali moi przyjaciele, zsunąłem się z jednego z trzech hamaków zawieszonych jeden nad drugim i wyszedłem na pokład. Chciałem rozgrzać zesztywniałe mięśnie i rozbudzić się po długiej nocy, podczas której rozbawieni Brazylijczycy, uciekając przed upałem, do późna popijali cachaçę z lodem, z entuzjazmem wyśpiewując przeboje amazońskiej muzyki popularnej i fałszując przy tym niemiłosiernie.

W ciszy, którą przerywał jedynie stłumiony terkot silnika, wychyliłem się za burtę, by podziwiać rozległy krajobraz. Amazonka niosła ze sobą fragmenty roślin i powalone drzewa, niektóre większe od naszej łodzi, prawdopodobnie wyrwane z brzegów przez wczorajsze ulewy. Rzeka unosiła je z prądem, setki lub też tysiące kilometrów, aż do ujścia w oceanie, a być może i dalej, ku wybrzeżom Afryki.

Zamyślony i pogrążony w niemal hipnotycznym transie, nagle dostrzegłem dwa różowe kształty. Wynurzyły się tuż obok statku, po czym zniknęły pod powierzchnią, wzbijając niewielki słup wody.

Zaskoczony, wychyliłem się przez barierkę, próbując dojrzeć, co to było.

– Tutaj nazywamy je bõtos – usłyszałem ochrypły głos dochodzący zza mojego prawego ramienia.

Odwróciłem się zaskoczony. Tuż obok stał jeden z pasażerów, ten sam, który poprzedniej nocy fałszował bez opamiętania. Wpatrywał się mętnym wzrokiem w rzekę; nie zauważyłem nawet, kiedy się zbliżył.

– A wy, w Europie, nazywacie je delfinami rzecznymi, tak? – zapytał, nie odwracając głowy. Mówił nienaganną hiszpańszczyzną, choć zdradzał go brazylijski akcent.

– Tak – odparłem, ponownie spoglądając na rzekę. – Dziwne, że są różowe. Nigdy wcześniej żadnego nie widziałem.

Mężczyzna obrócił się w moją stronę, a mnie natychmiast uderzyła silna woń trzcinowej wódki.

– To dlatego, że są *gringos* – stwierdził.

– *Gringos*?

– Legenda głosi – zaczął poważnym tonem – że nocą delfiny rzeczne przemieniają się w wysokich, przystojnych *gringos* o jasnych włosach. Wychodzą na brzeg w pobliżu wiejskich zabaw, by zwodzić dziewczęta i je zapładniać. Mówi się, że niektóre z tych kobiet zamieniają się w samice delfinów, a ich dalszy los pozostaje nieznany.

– A może jest tak – zaryzykowałem, unosząc brew – że podczas wiejskich zabaw dziewczęta flirtują z miejscowymi chłopakami, a kiedy zachodzą w ciążę, zrzucają winę na delfiny?

Nieznajomy spojrzał na mnie spode łba, wyraźnie oburzony tą absurdalną teorią.

– A jak pan wyjaśni zaginięcia kobiet?

– Może po prostu uciekają z chłopakami? – odparłem, wzruszając ramionami.

Mężczyzna zmarszczył brwi, lekko poirytowany moim sceptycyzmem.

– Skąd pan pochodzi? – spytał, mrużąc oczy, jakby ta informacja miała wytłumaczyć źródło mojej niewiary.

– Z Hiszpanii – odparłem.

– Hmmm... Hiszpan – mruknął, jakby to wszystko wyjaśniało.

Wolałem samotność, ale z kurtuazji zapytałem:

– Pan również płynie do São Félix?

– Nie, wysiadam wcześniej, w Porto de Moz. Byłem w Santarém tylko po rtęć.

– Rtęć?

– Mam kopalnię na południu. Bez rtęci nie da się oddzielić złota.

– Kopalnię złota? – zapytałem, już autentycznie zainteresowany. – Jest pan *garimpeiro*?

Na te słowa zmarszczył brwi i spojrzał na mnie, jakbym go obraził.

– Nie jestem żadnym *garimpeiro* – odparł urażonym tonem. – Jestem przedsiębiorcą, właścicielem firmy. Nie mam z tą hołotą nic wspólnego.

– Przepraszam, źle się wyraziłem – odparłem, chcąc załagodzić napięcie.

– W porządku – odparł, przyjmując przeprosiny z lekką rezerwą. – Wielu tak myśli.

– Szczerze mówiąc, byłem przekonany, że w tych rejonach już nie wydobywa się złota. Myślałem, że złoża zostały wyczerpane.

Mężczyzna pokręcił głową z niedowierzaniem, uśmiechając się lekko.

– Amazonia – oznajmił z dumą, jakby posiadał ten skarb na własność. – Tutaj kryje się największe złoże złota na Ziemi. Pod naszymi stopami spoczywa jedna czwarta światowych rezerw, więcej niż łącznie w RPA, na Alasce i w Kanadzie.

– Naprawdę? – zapytałem, szczerze zaskoczony. – Nie spodziewałem się, że jest go aż tyle.

– Tysiące ton, tysiące – wyszeptał konspiracyjnie, jakby zdradzał jakąś pilnie strzeżoną tajemnicę. – Tylko jak je wydobyć w tej dżungli? No i rząd rozdaje najlepsze tereny tym Indianom, którzy i tak nie potrafią ich zagospodarować.

– Cóż – zacząłem ostrożnie, przeczuwając, że wchodzę na grząski grunt – te ziemie od zawsze należały do rdzennych mieszkańców i uważam, że mają do nich niezbywalne prawo.

– Ziemia należy do tych, którzy ją uprawiają – odparł bez wahania, oburzony.

Powstrzymałem się od wytłumaczenia mu różnicy między uprawą ziemi a jej rabowaniem. Wiedziałem, że dyskusja z człowiekiem, który do wydobywania złota używa rtęci – substancji trwale zanieczyszczającej rzeki i zatruwającej dżunglę, o czym obaj doskonale wiedzieliśmy – byłaby bezcelowa. Po długiej, niezręcznej ciszy zwiastującej koniec rozmowy, zapytał:

– Przyjechał pan do Brazylii jako turysta?

– Można tak powiedzieć.

– Dokąd płynie pan tym statkiem?

– W górę rzeki Xingu, na terytorium Menkragnoti – odparłem.

Na te słowa mężczyzna cofnął się o krok, wyraźnie zaskoczony. Z jego twarzy natychmiast zniknęła irytacja. Położył mi dłoń na ramieniu, pokręcił głową i spojrzał na mnie ponuro.

– To bardzo niebezpieczne tereny, wszyscy o tym wiedzą. Indianie nie tolerują obcych – powiedział, wskazując na pozostałych pasażerów. – Jeśli tam popłyniesz...

Urwał, wykrzywił usta i sugestywnie przejechał kciukiem po gardle.

Nie byłbym szczery, twierdząc, że ta krótka rozmowa mnie nie zaniepokoiła. Profesor ufał gościnności Indian, ale ja nie podzielałem jego optymizmu. Dodatkowo martwiła mnie bliskość dzikiej przyrody.

Próbowałem o tym nie myśleć, ale brak surowicy przeciw ukąszeniom węży nie dawał mi spokoju. Przed wyjazdem dowiedziałem się, że region ten zamieszkuje kilkanaście jadowitych gatunków, z których każdy stanowi śmiertelne zagrożenie. Żararaki, mokasyny, olbrzymie surukuku i agresywne, zwinne taye, które podobno atakują ludzi bez ostrzeżenia, to tylko niektóre z nich. Co gorsza, w wodach Xingu roiło się od kajmanów, jadowitych płaszczek i węgorzy elektrycznych, zdolnych do zabicia porażeniem. Nie można też zapomnieć o wszechobecnych piraniach, które w mgnieniu oka potrafią ogołocić z mięsa wszystko, co wpadnie do rzeki.

Jeszcze bardziej martwił mnie brak czasu na profilaktykę antymalaryczną. Ukąszenie przez zarażonego komara, bez szybkiej interwencji, mogło mieć śmiertelne skutki.

Choć lista potencjalnych zagrożeń była długa, najbardziej niepokoiły mnie jednak te nieznane, niewymienione.

Zatroskany tymi myślami, wróciłem do hamaka. Cassie już nie spała i przywitała mnie obojętnym spojrzeniem z podkrążonych oczu.

– Myślałam, że postanowiłeś wysiąść ze statku w pośpiechu.

Zmęczony, usiadłem obok niej na brzegu hamaka.

– Porozmawiałem sobie miło z jednym z pasażerów. A wysiadanie? Nie wiem... ale zapewniam cię, że tej nocy poważnie rozważałem, czy nie wyrzucić kilku osób za burtę.

– Zabiłabym za dobry, zimny prysznic – powiedziała, przesuwając dłonią po spoconej szyi. – Czuję się jak w saunie.

– Obawiam się, droga pani – westchnął profesor, wychylając głowę ze swojego hamaka, zawieszonego niemal przy podłodze i poprawiając okulary – że to może jeszcze potrwać. Jeśli, zgodnie z planem, hydroplan będzie na nas czekał jutro w Belo Monte, wyruszymy natychmiast. Zanim znowu będziemy mogli cieszyć się luksusami, takimi jak prysznice czy porządne łóżka, minie sporo czasu.

Resztę dnia spędziliśmy na spacerach po pokładzie, wpatrując się w bezkresny horyzont odległej dżungli. Zamyśleni i z narastającym niepokojem oczekiwaliśmy chwili, gdy wkroczymy w głąb nieznanego, gdzie groziło nam zaginięcie bez śladu.

Monotonię podróży przerwał zmierzch oraz awaria silnika, która zmusiła nas do zacumowania przy prawym brzegu rzeki w celu dokonania naprawy. Od wypłynięcia z Santarém był to pierwszy taki incydent. Zafascynowani pasażerowie w skupieniu zgromadzili się przy burcie. Szeroki snop światła z reflektora, rzucony z mostka, omiatał brzeg, ukazując ponure sylwetki drzew z korzeniami zanurzonymi w wodzie. Wokół, zamiast plaży czy lądu, rozciągała się jedynie gęsta roślinność, wypełniająca powietrze intensywną wonią kwiatów, wilgoci i gnijących liści.

Aby zapobiec dryfowaniu statku pod wpływem bocznego prądu – słabszego niż na środku rzeki, ale wciąż zdolnego do przesunięcia naszego środka transportu przed zakończeniem napraw – kilku pasażerów pomogło załodze w zabezpieczeniu rufy. Zarzucono sześć lin, które przymocowano do drzew na brzegu.

Właśnie kończyłem wiązać linę na knadze, gdy stało się coś dziwnego.

Najpierw usłyszeliśmy serię suchych stuknięć, przypominających odgłos gradu uderzającego o drewniany dach. Zaskoczeni tym dźwiękiem, niektórzy wychylili się za burtę, by sprawdzić, co się dzieje. Niebo było bezchmurne, a gwiazdy lśniły wyraźnie.

Nagle coś uderzyło mnie w ramię. Twardy, gładki, czarny przedmiot odbił się ode mnie i upadł na ziemię. Zaciekawiony, schyliłem się, by go podnieść. Zdumiała mnie jego niezwykła lekkość i wibracje, które niemal natychmiast poczułem. Przerażony, instynktownie wyrzuciłem znalezisko za burtę. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że na pokładzie wybuchło zamieszanie: dzieci biegały, skakały i śmiały się beztrosko,

podczas gdy większość pasażerów, próbując zachować spokój, starannie owijała się pelerynami.

Początkowo byłem kompletnie zdezorientowany. Wokół panował coraz większy chaos.

Nagle poczułem kolejne uderzenie, jakby ktoś ciskał z ciemności drobnymi, czarnymi kulkami. W ciągu kilku sekund pokład pokrył się dywanem tajemniczych obiektów spadających znikąd.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że to nie przedmioty, lecz żywe istoty: wielkie, latające chrząszcze, które z niewiadomych przyczyn atakowały statek, ginąc natychmiast po uderzeniu, niczym kamikadze.

Ogłuszający dźwięk ich uderzeń przypominał serię z karabinu maszynowego. Część pasażerów usiłowała schronić się przed tym atakiem, podczas gdy inni, jakby nigdy nic, grali w karty lub prowadzili ożywione rozmowy, zupełnie ignorując bombardowanie.

Niemal równie niesamowite, jak nagłe pojawienie się owadów, było ich tak samo szybkie zniknięcie. W ciągu minuty atak ustał, a jedyną pozostałością po tym zdarzeniu – dowodem, że to nie był sen – były miriady lśniących, czarnych ciał, drgających na pokładzie i chrzęszczących pod stopami.

To jednak nie był koniec.

Załoga, uzbrojona w miotły i łopaty, bez zwłoki przystąpiła do sprzątania pokładu. Zgarniała martwe owady i wyrzucała je do rzeki. Pod powierzchnią mętnej wody, rozświetlanej jedynie słabym blaskiem lamp, roiło się od ryb, które urządziły sobie ucztę z martwych chrząszczy, burząc spokojną toń wokół kadłuba.

Gdy sytuacja zaczęła się stabilizować, uświadomiliśmy sobie, że nie jesteśmy sami. Ciszę dżungli i szum rzeki stopniowo zagłuszało znajome, choć niepokojąco intensywne brzęczenie.

Tym razem nadciągały komary.

Kto nigdy nie zmierzył się z dżunglą, nie zrozumie, co znaczy być atakowanym przez rój owadów. Te niepowstrzymane chmary, niczym biblijna plaga szarańczy, zwabione światłem i zapachem krwi, momentalnie obległy nasz statek. W jednej chwili komary pokryły skórę i ubrania. Bezskutecznie próbowałem powstrzymać je przed wtargnięciem do nosa, zatykałem uszy i wypluwałem te insekty, które próbowały dostać się do ust.

Przerażeni pasażerowie w panice rozbiegli się, krzycząc i bezradnie opędzając się od owadów.

Widoczność spadła niemal do zera. To przeklęte robactwo wlatywało wszędzie, plącząc się nawet w rzęsach i utrudniając widzenie. W tej absurdalnej sytuacji przemknęła mi przez głowę myśl o repelencie, choć w obliczu tak intensywnego ataku byłby on i tak bezużyteczny. Musiałem odnaleźć profesora i Cassie.

Z trudem otworzyłem oczy i wyciągnąłem rękę przed siebie. Na oślep, macając w poszukiwaniu hamaków, zacząłem wołać przyjaciół.

Nagle poczułem szarpnięcie i straciłem równowagę. Zachwiałem się i upadłem na drewnianą podłogę.

Podniosłem wzrok, próbując zorientować się, kto mnie potrącił. Ku mojemu zdziwieniu, w słabym świetle żarówki zobaczyłem, że leżę w schowku na bagaże, otoczony przez grupę pasażerów. Cassie i profesor Castillo patrzyli na mnie z rozbawieniem.

– *Órale*, Ulisesie – rzuciła dziewczyna z kpiącym uśmiechem. – Fajnie, że do nas wpadłeś.

9

Następnego ranka, o wschodzie słońca, łódź pruła przez przejrzyste wody rzeki Xingu, zabarwione taninami na kolor mocnej herbaty.

Koryto dopływu było znacznie węższe od Amazonki – od burty do brzegu dzieliło nas zaledwie sto metrów. Miejscami w koronach drzew można było dostrzec małpy, a w herbacianej toni smukłe kormorany nurkujące w poszukiwaniu zdobyczy.

Życie na statku było monotonne, a jedyne urozmaicenie stanowiły rozmowy z pasażerami. Niestety, ich wyraźny brazylijski akcent, charakterystyczny dla Amazonii, często zamieniał konwersacje w serię nieporozumień. Okazywało się, że gesty, którymi próbowaliśmy się wspierać, nie są tak uniwersalne, jak sądziłem.

Przed południem, gdy do Belo Monte, według oceny załogi, pozostały nam jakieś cztery, może pięć godzin żeglugi, spacerowałem bez celu po pokładzie. Dostrzegłem na rufie Cassie, która siedziała samotnie na workach z ryżem, zamyślona i wpatrzona w kilwater znikający za zakrętem rzeki.

W milczeniu podszedłem i usiadłem obok. Nie spojrzała na mnie.

– Piękny widok, prawda? – zapytałem po chwili.

Cassie zerknęła na mnie kątem oka, ale nic nie odpowiedziała.

– Nadal się gniewasz?

Powoli odwróciła głowę.

– Powinnam?

– Nie, właściwie to chyba nie. Ale od naszego rozstania prawie się do mnie nie odzywasz...

Cassie, wciąż wpatrując się w horyzont, głęboko westchnęła.

– Te miesiące spędzone razem... – wyszeptała. – Dlaczego to się tak skończyło? Naprawdę wierzyłam, że my... – zawiesiła głos.

– Ja też w to wierzyłem, naprawdę. Ale życie bywa przewrotne.

– Ale dlaczego? Jak mogliśmy do tego dopuścić?

W jej zielonych oczach, o barwie dżungli, zatańczyły refleksy słońca.

Jej falujące blond włosy, teraz nieco krótsze, sięgały ramion. Taką ją zapamiętałem z naszego pierwszego spotkania na statku, podczas wyprawy na Karaiby. Patrząc na nią, mimo upływu miesięcy, miałem wrażenie, że od chwili, gdy się w niej zakochałem, minęło zaledwie kilka minut.

Nie mogłem się powstrzymać. Powoli zbliżyłem się do niej, zamknąłem oczy i nachyliłem się, by ją pocałować.

Okazało się, że był to błąd.

Otworzyłem jedno oko. Odchylona do tyłu, patrzyła na mnie z wyrazem twarzy pełnym zakłopotania i zażenowania.

– Co robisz? – zapytała, marszcząc brwi.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Nie... nie wiem – wyjąkałem bez sensu. – Myślałem, że ty... że ja... Sam nie wiem, co myślę.

Cassie odrzuciła głowę do tyłu i głęboko westchnęła.

– Widzisz? O tym właśnie mówię. Nie słuchasz mnie. Staram się opowiedzieć ci o przeszłości, o moich uczuciach i o tym, co się między nami wydarzyło, a ty myślisz tylko o jednym.

– No dobrze, ale wiesz, że pocałunek też by mnie zadowolił.

– Zamknij się, okej?

– Cassie, posłuchaj, nie zrozum mnie źle. Bardzo bym chciał, żebyśmy się dogadali i znowu byli przyjaciółmi.

– Ta, chyba przyjaciółmi „bez zobowiązań".

– Znowu to robisz – powiedziałem, kręcąc głową. – Najpierw mnie prowokujesz, a potem, kiedy reaguję, wyzywasz od tępaków i niewrażliwców.

– Ja cię prowokuję? – odparła, już z wyraźnym oburzeniem w głosie. – Czyli rozmowa o tym, co się między nami stało, to twoim zdaniem prowokacja?

– No tak – odparłem, po czym szybko dodałem: – A właściwie nie. To skomplikowane.

– Więc uważasz, że rozwiązaniem wszystkich problemów jest wpychanie mi języka do gardła?

– Na litość boską! – krzyknąłem, wstając gwałtownie. – Prędzej skoczę do wody, niż będę się z tobą dłużej kłócił.

– Bardzo proszę – odparła, wskazując na burtę. – Nie zamierzam cię powstrzymywać.

Rozwścieczony nią, sobą oraz złośliwością losu, odwróciłem się i ruszyłem w stronę dziobu. Chciałem uciec jak najdalej od Cassie i uczuć, które we mnie rozpalała.

Wygląda na to, że od czasów, gdy mieszkaliśmy razem w Barcelonie, nic się nie zmieniło. Mimo wzajemnego przyciągania, różnice – a może właśnie zbyt duże podobieństwo – naszych charakterów wciąż prowadziły do konfliktów, nawet o błahe sprawy. Nasza relacja przypominała emocjonalny rollercoaster, pełen namiętności, przygód, ale i napięć oraz nieporozumień.

Paradoksalnie, choć początkowo odetchnąłem z ulgą po rozstaniu, z czasem negatywne wspomnienia zaczęły tracić na ostrości, a w mojej pamięci coraz częściej pojawiała się tęsknota.

Takie sceny boleśnie przypominały mi jednak, dlaczego nasze rozstanie było nieuchronne.

10

Około godziny drugiej po południu, w zenicie równikowego słońca, opuściliśmy wreszcie Bahía do Guajará. Przed wąską kładką prowadzącą na ląd, kłębił się chaotyczny tłum. Setki pasażerów dźwigało wypchane walizki, worki, wiklinowe kosze z kurami i świnie związane za nogi. Na plecach matek płakały małe dzieci. To malownicze, choć przytłaczające widowisko przypominało inwazję w Normandii.

Po drugiej stronie kładki czekał równie gęsty tłum. Niecierpliwi podróżni przepychali się, próbując zająć najlepsze miejsca do rozwieszenia hamaków na rejs powrotny do Santarém. Zamieszanie potęgowało dwudziestu, a może i trzydziestu sprzedawców suszonych ryb, napojów oraz tanich drobiazgów, którym towarzyszyli rozzuchwaleni, obnażeni do pasa tragarze, głośno oferujący swoje usługi. Ten bezładny obraz dominował na prowizorycznym nabrzeżu małej osady Belo Monte – ostatnim porcie nad rzeką, która stąd wrzynała się na dwa tysiące kilometrów w głąb dziewiczej dżungli.

Rozklekotana granica tego, co można by nazwać cywilizacją.

Na drugim końcu pomostu, przy drewnianym nabrzeżu, kołysał się nasz kolejny środek transportu: lśniący, granatowy hydroplan Cessna Caravan z dużym, żółtym logo firmy AZS po obu stronach kadłuba.

Ruszyliśmy z plecakami w stronę samolotu. Wówczas otworzyły się drzwi i ze środka wysiadł mężczyzna, którego wygląd, w kontraście do chwiejącego się hydroplanu, sprawił, że zacząłem poważnie rozważać przepłynięcie rzeki kajakiem.

W niskim, ciemnoskórym mężczyźnie o zaniedbanym wyglądzie i nastroszonym wąsie trudno było dopatrzeć się cech stereotypowego pilota. Zauważyłem kątem oka, że profesor i Cassie obserwują go z wyraźnym zaniepokojeniem.

Miał na sobie stare klapki, poszarpane szorty i poplamioną olejem koszulkę – brakowało mu tylko sombrera i pary pistoletów, by do złudzenia przypominał rewolucjonistę z czasów Pancho Villi.

– *Boa tarde* – przywitał się ochrypłym głosem.

– *Boa tarde* – odpowiedzieliśmy chórem.

– Czy to pan jest pilotem tego hydroplanu? – zapytałem, w duchu licząc na odpowiedź przeczącą.

– *Eu sou* – potwierdził, ściskając moją dłoń i rozwiewając nasze nadzieje. – Getúlio Oliveira, do pańskiej dyspozycji.

Widząc nasze miny, wskazał na siebie nieco urażony i dodał z lekkim wyrzutem w głosie:

– To mój dzień wolny...

Załadunek sprzętu i znalezienie odpowiedniego miejsca do wodowania zajęło nam niecałe dwadzieścia minut. Nim się obejrzałem, siedziałem już na miejscu drugiego pilota i porównywałem dane z GPS-u z rozłożoną na kolanach mapą nawigacyjną. Co chwila spoglądałem przez okno na wszechogarniającą zieleń, nad którą mknęliśmy z prędkością trzystu kilometrów na godzinę.

Dżungla rozciągała się aż po horyzont, nieprzecinana żadną osadą, drogą ani polaną. Zwarta gęstwina nie przepuszczała promieni słonecznych do niższych partii lasu. Z lotu ptaka amazońska selwa jawiła się jako rozległy, zielony ocean drzew, choć doświadczenie uczyło, że to tylko pozór. Pod zielonym baldachimem koron życie pulsowało z niespotykaną intensywnością. Tysiące gatunków ptaków, ssaków, gadów i bezkręgowców – często jeszcze nieznanych nauce – uczyniło to miejsce swoim królestwem, do którego nie zostaliśmy zaproszeni i w którym nasza obecność nie była pożądana.

Mogłem jedynie mieć nadzieję, że pilot siedzący po mojej lewej stronie, mimo niechlujnego wyglądu i nonszalanckiego trzymania sterów, dba o stan samolotu bardziej niż o swój wizerunek. Modliłem się, abyśmy nie musieli awaryjnie lądować na tym bezkresnym, niezamieszkanym obszarze.

Za moimi plecami, rozłożony na dwóch fotelach, głośno chrapał profesor Castillo – ponownie pod wpływem mieszanki alkoholu i diazepamu. Był to jedyny sposób, by przekonać go do lotu. Zgodził się,

ponieważ oszczędzało nam to tygodni męczącej przeprawy, ale i tak tuż przed wejściem do samolotu, na samą myśl o pozornej kruchości tego małego hydroplanu, dopadł go atak paniki.

Poprosił o chwilę przerwy. Zażył kilka tabletek na uspokojenie, a potem pod pretekstem kupienia napoju poszedł do baru na nabrzeżu. Ponieważ długo nie wracał, poszedłem go poszukać. Znalazłem go opartego o ladę. Stały przed nim trzy puste szklanki po caipirinhi. Bełkotał coś o „łodzi ze skrzydłami", na którą w żadnym wypadku nie może wsiąść. Niemal siłą wyciągnąłem go z baru i zaciągnąłem z powrotem na pomost. Z pomocą Cassie i pilota wpakowaliśmy go do hydroplanu i zostawiliśmy skulonego, śpiącego w stanie upojenia. Wiedzieliśmy, że to jedyny sposób, żeby z nami poleciał.

Cassie usiadła w ostatnim rzędzie, dając tym samym do zrozumienia, że nie ma ochoty na towarzystwo. Pilot, wyraźnie niezadowolony z konieczności pracy w dzień wolny, odpowiadał lakonicznie. Zmęczony monotonią krajobrazu i jednostajnym warkotem silnika, szybko zasnąłem z mapą dorzecza Xingu w dłoni. Dwie bezsenne noce spędzone na statku dały o sobie znać.

We śnie wędrowałem przez dżunglę, odmienną od wszystkich, które dotąd znałem. Skąpana w słońcu, tonęła w feerii barw kwitnących roślin, porastających brzegi kamiennej ścieżki niczym starannie wypielęgnowany ogród. Nagle na gałęzi obok usiadła przepiękna papuga o piórach w odcieniach błękitu, czerwieni i żółci, a ciszę przeszył jej przenikliwy krzyk. Zaintrygowany, przyjrzałem się jej uważnie – w tym hałaśliwym ptaku zdawałem się rozpoznawać znajomy głos. Niespodziewanie kamienna ścieżka urwała się, a ja straciłem grunt pod nogami. Poczułem, jak spadam, by za chwilę z impetem zostać wyrzuconym w górę. Wtedy papuga wrzasnęła coś z wyraźnym meksykańskim akcentem.

Otworzyłem oczy. Dziób samolotu spowijała fontanna piany i grubych kropel. Za szybą rozciągała się już tylko ciemna, bezkresna toń Xingu. Dotarliśmy na miejsce.

Kolejne uderzenie o taflę wody z impetem wyrzuciło mnie w górę – pas bezpieczeństwa uchronił moją głowę przed uderzeniem o sufit. Pływaki z hukiem smagały wodę, a cała maszyna trzęsła się, jakby za chwilę miała

się rozpaść. Nagle usłyszałem krzyk, coraz bardziej wyraźny, tym razem bez charakterystycznego meksykańskiego akcentu.

Zdziwiłem się, po czym dotarło do mnie, że ten przerażony głos…

…należy do mnie.

11

Maszyna z impetem uderzyła w taflę wody, mijając o włos potężną skałę. Najmniejsze muśnięcie groziłoby zmiażdżeniem pływaków hydroplanu.

Pilot usiłował posadzić maszynę zgodnie z procedurą – pod wiatr – lecz silny prąd rzeki udaremniał ten manewr, spychając samolot i utrudniając wyhamowanie.

– Do jasnej cholery! – wykrzyknęła Cassie siedząca dwa rzędy za mną. – Ten złom nie ma hamulców?!

Pilot zareagował, redukując obroty silnika i próbując skręcić sterem kierunku. Napór wody okazał się jednak zbyt silny, a maszyna zakołysała się niebezpiecznie, grożąc wywróceniem.

Na szczęście brzegi dżungli były oddalone od rzeki, tworząc po obu stronach szeroki, ponadstumetrowy pas otwartej przestrzeni. To znacznie zmniejszało ryzyko uderzenia w drzewa. Największe zagrożenie stanowiły jednak rafy, ledwo zanurzone i trudne do zauważenia aż do ostatniej chwili.

– *Não posso deter-me!* – krzyknął Getúlio Oliveira, próbując przebić się przez ryk silnika. – T*enho que desdobrar e tentar aterrissar a contracorrente!*

Skinąłem głową, entuzjastycznie popierając jego pomysł:

– Tak, niech pan poderwie maszynę!

Pilot uruchomił klapy i pchnął przepustnicę do oporu. Silnik ryknął, a wibracje wstrząsnęły kruchą, aluminiową konstrukcją samolotu.

Spojrzałem w stronę horyzontu, oceniając, czy mamy wystarczająco dużo miejsca do startu. To, co zobaczyłem, zaskoczyło mnie tak bardzo, że przez moment nie mogłem zrozumieć, co się dzieje.

A właściwie – czego nie widzę:

Rzeki.

Dwieście metrów przed nami horyzont urywał się nagle, w niewytłumaczalny sposób, niczym niedokończona scenografia. Za tym punktem

rzeka, dżungla i nasza przyszłość rozpływały się, jakbyśmy dopływali do krańca świata.

Cassie, która również to zauważyła, wyszeptała:

– O Boże... Wodospad.

Z osłupieniem obserwowałem nieubłaganie zbliżającą się krawędź przepaści, kurczowo ściskając poręcz w desperackiej nadziei na ratunek.

Po drugiej stronie urwiska zobaczyłem chmurę rozpryskującej się wody. Spocona twarz pilota, pochylonego do przodu i wpatrzonego w horyzont, nie wróżyła nic dobrego. Milczał.

Wskazówka prędkościomierza pokazywała czterdzieści węzłów, ale fakt, że wciąż sunęliśmy po wodzie, sugerował, że prędkość była zbyt mała, byśmy mogli wystartować.

Wodospad był już niespełna sto metrów przed nami. Silnik pracował na najwyższych obrotach.

Siedemdziesiąt metrów.

Pilot zacisnął dłonie na sterze, aż zbielały mu kłykcie.

Pięćdziesiąt metrów.

Czterdzieści pięć węzłów. Wciąż nie mogliśmy się wzbić.

Trzydzieści metrów.

Usłyszałem wołanie z tyłu.

Dwadzieścia metrów.

Odwróciłem głowę. Cassie patrzyła mi prosto w oczy.

Dziesięć metrów.

Poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć. Chciałem się uśmiechnąć, by dodać jej otuchy, ale nie pozwalały mi na to moje trzęsące się wargi.

Drgania i plusk wody nagle ustały. Spojrzeliśmy na siebie, ogarnięci dziwnym uczuciem zawieszenia, jakbyśmy unosili się w powietrzu.

Chciałem coś powiedzieć, ale w tej samej chwili straciłem głos. Serce waliło mi jak młotem, gdy samolot, w którym byliśmy zamknięci, przeleciał nad krawędzią wodospadu i zaczął pikować w stronę skał ukrytych w spienionej wodzie.

Gwałtowne szarpnięcie rzuciło mną jak szmacianą lalką. Zamknąłem oczy, spodziewając się brutalnego uderzenia. Nie zdążyłem krzyknąć ani się pomodlić – byłem pewien, że to już koniec.

Spadaliśmy w pustkę.

Sekunda.

Dwie sekundy.

Trzy sekundy.

Ryk silnika narastał.

Wciąż żyłem...

Jakim cudem?

Podniosłem głowę. Pilot z trudem szarpał za stery, żyły na jego szyi pulsowały, a wzrok wbijał w przednią szybę. Spojrzałem przed siebie, ponad tablicę rozdzielczą i, jak po przebudzeniu z koszmaru, ujrzałem wijącą się spokojnie rzekę oraz rozległą dżunglę. Hydroplan wznosił się łagodnie, nabierając wysokości. Huk sześciuset koni mechanicznych zagłuszał szum wiatru i mieszał się z westchnieniami ulgi pasażerów.

Pięć minut później, gdy emocje nieco opadły, Getúlio Oliveira ponownie skierował się na ten sam odcinek rzeki, skąd wcześniej bezskutecznie próbowaliśmy wystartować. Tym razem płynął pod prąd, co ułatwiało sterowanie i utrzymanie samolotu w odpowiednim kierunku, mimo większego oporu fal.

Problem polegał na tym, że nie mieliśmy dokąd lecieć.

Brzeg porastały wysokie, dwudziesto – lub trzydziestometrowe drzewa o gęstych koronach, tworzących nieprzeniknioną barierę.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że mamy poważny problem. Nikt z nas nie pomyślał o zabraniu dmuchanego pontonu.

Sprawdziłem współrzędne GPS-u. Jeśli profesor się nie pomylił, wioska Menkragnoti powinna znajdować się tuż za pasem drzew, zaledwie kilkaset metrów od brzegu.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiłem, wskazując w prawo. – Musimy wysiadać.

Pilot odwrócił się i wzruszył ramionami.

– *Desculpa* – powiedział – *mas eu não posso chegar mais perto. Há muitas árvores e se estraga na aeronave, se a companhia de seguros que disparou* – i wskazując wąski, żółtawy pas przed nami, dodał: – *Tudo o que posso fazer, é deixá-los no banco de areia logo à frente*.

Spojrzałem pytająco na Cassie.

– Co o tym sądzisz? – spytałem. – Mówi, że nie zaryzykuje podpłynięcia bliżej brzegu. Twierdzi, że ze względu na powalone drzewa jedyne, co może zrobić, to wysadzić nas na tej piaskowej ławicy.

– Cóż… – odparła. – Perspektywa spędzenia kilku godzin na środku nieznanej rzeki, tuż przed zmrokiem, nie jest zbyt zachęcająca.

– Zgadzam się.

– Ale wygląda na to, że nie mamy wyboru – dodała z rezygnacją.

– Niestety – przyznałem i poleciłem pilotowi skierować się w stronę wału.

12

Po sprawnym zacumowaniu hydroplanu do pali przenieśliśmy bagaże i sprzęt kempingowy na niewielką wysepkę o powierzchni zaledwie stu metrów kwadratowych. Na żółtawym piasku dostrzegliśmy ślady kajmanów. Pilot wyjaśnił, że prawdopodobnie upodobały sobie to miejsce do porannych kąpieli słonecznych, dzięki którym regulują temperaturę ciała, i zasugerował, abyśmy następnego dnia unikali tej części wyspy.

Po wygodnym ułożeniu śpiącego profesora na plecakach, w nadziei na jego rychłe przebudzenie, pożegnaliśmy pilota krótkim uściskiem dłoni. Życząc mu powodzenia, umówiliśmy się na odbiór w tym samym miejscu po naszym sygnale, wysłanym przez telefon satelitarny.

Lotnik, w przebraniu zapatystowskiego rewolucjonisty, zasiadł w kabinie hydroplanu. Uruchomił silnik, odpiął liny i skierował maszynę w stronę wodospadu, stopniowo zwiększając obroty. Wykorzystując impet spadającej wody, samolot z gracją wzniósł się w powietrze i obrał kurs na północ, znikając na horyzoncie jako coraz mniej dostrzegalny punkt.

Wpatrując się w oddalający się samolot, ogarnęło mnie niepokojące przeczucie. Miałem wrażenie, że to nie był zwykły środek transportu, lecz raczej wehikuł czasu, który przeniósł nas z dwudziestego pierwszego wieku w odległe i niegościnne czasy – jakbyśmy cofnęli się o pięćset lat.

Oderwałem wzrok od nieba i zobaczyłem budzącego się profesora Castilla. Zamrugał oszołomiony, zasłaniając dłonią oczy przed słońcem.

– Gdzie... gdzie jesteśmy? – zapytał.

– Bardzo blisko współrzędnych, które nam pan podał, profesorze. Jesteśmy na rzece Xingu – wyjaśniła Cassie, siadając obok niego. – Dokładnie na jej środku.

– Och, doprawdy? – odparł profesor, unosząc się lekko i dostrzegając wokół siebie wodę. – Jak minęła podróż?

– Bardzo spokojnie, profesorze – odpowiedziałem, spoglądając ukradkiem na Cassie. – Prawdziwa przyjemność.

– Tak, nudna przejażdżka – zawtórowała mi sarkastycznie Meksykanka, strzepując piasek ze spodni. Odwróciła się w stronę odległego brzegu i, nie spuszczając go z oka, zapytała: – Jak my się stąd, do cholery, wydostaniemy?

Po krótkiej naradzie postanowiliśmy poczekać, licząc na to, że ktoś z mieszkańców pobliskiej wioski Menkragnoti widział lub słyszał lądujący hydroplan i z ciekawości przyjdzie sprawdzić, co się stało. Wtedy poprosimy ich o pomoc w zorganizowaniu transportu kajakami.

Plan, choć ryzykowny, wydawał się jedynym rozwiązaniem. Ciemne, wzburzone wody rzeki nie zachęcały do przeprawy, a liczne ślady kajmanów na ławicy piaskowej tylko potwierdzały ich obecność.

– A co, jeśli nikt się nie pojawi? – zapytała Cassie z wahaniem, rysując gałązką po piasku. Siedziała na plecaku, a w jej głosie pobrzmiewała niepewność.

– Przyjdą – odparłem, starając się mówić z przekonaniem, choć sam nie byłem tego taki pewien. – Lądowanie samolotu w tym miejscu to rzadkość, więc z pewnością wzbudzi czyjeś zainteresowanie.

Profesor, wciąż oszołomiony niezwykłą podróżą, otarł spocone czoło chusteczką.

– Wygląda na to, że nikomu się nie spieszy. Siedzimy tu już dość długo...

Zasłoniłem oczy dłonią przed słońcem, próbując ocenić, ile czasu minęło.

– Szacuję, że zostało nam jeszcze parę godzin światła – powiedziałem, licząc na palcach. – Wystarczająco dużo, by nas znaleźli i zdążyli uratować przed zmrokiem.

– Mam taką nadzieję – odparła Meksykanka, wskazując na skupisko pni dryfujących wzdłuż brzegu rzeki. – Bo wydaje mi się, że ktoś się nami zainteresował.

Spojrzałem w tamtym kierunku i przeszedł mnie dreszcz. Te podłużne kształty kołyszące się na wodzie z pewnością nie były fragmentami drzew.

Właśnie wtedy usłyszałem za sobą zaniepokojony krzyk profesora.

– Co się dzieje? – zapytałem, odwracając się z sercem łomoczącym w piersiach.

Stary przyjaciel mojego ojca żywo gestykulował, podskakując na piasku. W jego oczach widziałem dziwny błysk.

– *Híjole!* – wykrzyknęła Cassie. – Tam jest!

Wreszcie i ja go zobaczyłem.

Na brzegu stał niemal nagi mężczyzna, przepasany jedynie skromnym kawałkiem materiału. W prawej dłoni trzymał nieproporcjonalnie duży łuk. Jego ciało pokrywały skomplikowane malowidła. Tubylec, nieruchomy niczym posąg, obserwował nas z oddali z hieratycznym spokojem, ignorując gesty i okrzyki Castilla. Wydawało się, że jesteśmy dla niego niewidzialni.

Cassie i ja natychmiast dołączyliśmy do profesora i po chwili wrzeszczeliśmy już w trójkę na całe gardło, niczym rozbitkowie, którymi w istocie byliśmy.

– Hej! Halo! – Cassie wymachiwała rękami, próbując zwrócić na siebie uwagę.

– Jesteśmy tutaj! – krzyknąłem.

– Przyjacielu, idź po pomoc! Przyprowadź kogoś, zanim zapadnie zmrok! – wrzasnął Eduardo, przykładając dłonie do ust, by wzmocnić głos.

Wymieniliśmy z Cassie porozumiewawcze spojrzenia, po czym zwróciliśmy się do profesora.

– Profesorze, co pan wyprawia? Przecież on nie mówi w naszym języku!

– No cóż, ja...

– Hej, patrzcie! – Cassie wskazała na tubylca. – Odchodzi!

Bez słowa pożegnania i z wyrazem obojętności na twarzy, nieznajomy odwrócił się i spokojnym krokiem zniknął w gęstwinie dżungli, jakby odbywał zwykły spacer.

– To niemożliwe – wymamrotałem.

– Widział nas? – zapytał profesor, nerwowo drapiąc się po szyi.

– Jak mógłby nas nie zauważyć? – odparła Cassie. – Musiałby być ślepy i głuchy.

– I co teraz?

– Może poszedł do wioski po pomoc – zasugerowałem bez przekonania.

Cassie osunęła się na plecak.

– A może nie jesteśmy tu tak mile widziani, jak sądziliśmy – powiedziała ponuro.

Słońce, skryte za koronami drzew, zaczęło tonąć w pomarańczowej poświacie, a gęsta roślinność na brzegu posępnie ciemniała. Wiedziałem, że nie możemy dłużej zwlekać.

– Musimy stąd uciekać – oświadczyłem, wstając.

Cassie wzruszyła ramionami.

– To oczywiste, tylko jak?

– Jakoś damy radę – odparłem. – Jeśli trzeba będzie płynąć, popłyniemy.

– A kajmany? – zapytał profesor. – Nie byłoby bezpieczniej poczekać tutaj?

– Nie sądzę. Z tego, co wiem, kajmany polują głównie nocą, a jeśli zostaniemy na tej nędznej wysepce, sami staniemy się łatwym celem.

Meksykanka pokręciła głową.

– W wodzie nie mamy większych szans – stwierdziła, wskazując na otoczenie. – Te bestie są wszędzie, dodatkowo odcięły nam drogę ucieczki. Wystarczy, że wejdziemy do wody, a zaatakują.

– To prawda, jednak mam pewien pomysł, jak je rozproszyć i zyskać na czasie.

– Zamierzasz im śpiewać? – wtrącił profesor i dodał po chwili: – Naprawdę myślisz, że to je odstraszy?

– Mówię poważnie. Mam plan i myślę, że to się może udać – odparłem, starając się brzmieć pewnie. – Nie mamy dużo czasu, zmrok zapadnie lada chwila.

13

Gdy profesor z Cassie rozkładali namiot kupiony w Santarém, ja rozciągałem na ziemi moskitierę, starając się jak najlepiej ją naprężyć.

– Gotowe – oznajmiła Cassie, stojąca tuż za moimi plecami. – I co teraz?

– Przynieście ten namiot – poleciłem, wskazując na niego. – Rozbijemy go na moskitierze.

Zrobili, jak im kazałem. Opaskami zaciskowymi szybko przymocowałem cienką siatkę do wzmocnionych, plastikowych prętów.

– Nadal nie rozumiem – powiedział profesor Castillo, marszcząc brwi. – Po co ten namiot z moskitierą? Naprawdę myślisz, że to powstrzyma kajmany?

– Profesorze, to nie będzie schron – wyjaśniłem, odwracając konstrukcję dnem do góry. – To prowizoryczna sieć rybacka.

Cassie spojrzała na mnie z niepokojem.

– Kajmany dookoła, a ty chcesz łowić ryby? – zdziwił się profesor.

– Tak – odparłem. – Mam... powiedzmy... dość niekonwencjonalny plan.

– Słucham – odparł, zachęcając gestem, bym mówił dalej.

Podszedłem z prowizoryczną siecią do brzegu i zanurzyłem ją w mętnej wodzie.

– Chodzi o to – zacząłem, brodząc po kolana i mocno trzymając sieć – żeby złowić ryby, które posłużą nam jako przynęta. Odwrócimy uwagę kajmanów, zwabimy je na jedną stronę wysepki, a sami odpłyniemy z drugiej.

– Mówisz poważnie? To ściągnie tu wszystkie kajmany z okolicy! – wykrzyknęła Cassie.

– Uważam ten pomysł za bardzo ryzykowny – stwierdził profesor, dodając po chwili: – Dostrzegam w nim wiele potencjalnych problemów.

– Wiem – odparłem. – Ale dopóki nie znajdziemy nic lepszego, jest to jedyny plan, jaki mamy. Inaczej będziemy czekać z założonymi rękami. Co wybieracie?

Wymienili niepewne spojrzenia. Cmokali, spoglądali w niebo i kręcili głowami, dając wyraz swoim obawom, ale ostatecznie, wypatrując ukradkiem stworzeń większych od pstrąga, zgodzili się wejść ze mną do wody.

– Trzymajcie mocno, ale ostrożnie – zarządziłem, próbując przekrzyczeć szum wody. – Prąd znosi ryby prosto na nas. Bądźcie czujni i podnieście sieć, gdy tylko poczujecie, że coś w nią wpada.

– A jeśli nic nie złowimy? – zapytał profesor, rozglądając się nerwowo dookoła.

– Na pewno coś złowimy, proszę się nie martwić. Musimy tylko uważać, żeby nic nas nie zaskoczyło od tyłu.

– Nie martw się. To również jest w moim interesie…

Krystalicznie czysta woda, ciemna jak mocna herbata, z impetem przepływała między naszymi nogami. Sięgała zaledwie do łydek, ale musieliśmy ostrożnie stawiać kroki na śliskim dnie, ponieważ bez pewnego oparcia silny nurt mógł nas porwać w dół rzeki, wprost ku oddalonemu o niecałe pięćset metrów wodospadowi.

Po trzech minutach oczekiwania Cassie zaczęła okazywać zniecierpliwienie.

– To nie ma sensu – burknęła. – Wygląda na to, że ryby sobie z nas żartują.

– Jeszcze trochę cierpliwości…

– Powinniśmy spróbować czegoś innego.

– Bądźmy cierpliwi, coś w końcu musi się złapać.

– Naprawdę myślisz, że te ryby są aż tak… – przerwała, bo w tej samej chwili sieć gwałtownie szarpnęła, zaskakując nas wszystkich.

– Jest! Coś mamy! – krzyknął z entuzjazmem profesor. – Coś wpadło!

– Ciągnijcie! Mocno! – zawołałem.

Profesor chwycił konstrukcję z boku i razem wyciągnęliśmy sieć z wody.

– *Híjole*, ale ciężka! – wykrzyknęła Cassie.

Nic dziwnego. W sieci wił się ogromny sum, ważący co najmniej piętnaście kilogramów.

Zwierzę szarpało się gwałtownie, grożąc rozerwaniem delikatnej siatki. Wróciliśmy na piaszczystą ławicę i, aby zmniejszyć obciążenie, częściowo zanurzyliśmy konstrukcję w wodzie. Z naszych gardeł wyrwały się triumfalne okrzyki, które natychmiast rozniosły się po okolicy.

– Co za szczęście! – wykrzyknął radośnie profesor.

– Mamy przynętę! – odparłem z równym entuzjazmem.

Ledwo to powiedziałem, a kątem oka zarejestrowałem jakiś ruch. Coś poruszyło się tuż obok nas, zaledwie dwa metry po mojej prawej stronie. Zaskoczony, odwróciłem się z uśmiechem, który momentalnie zniknął, gdy woda w sieci, którą trzymaliśmy, nagle się zapieniła.

Z kotłowaniny wyłonił się monstrualny, odrażający pysk. Osłupiali, kurczowo ściskaliśmy prowizoryczną pułapkę, nie dowierzając własnym oczom. Potwór otworzył paszczę pełną ostrych, pożółkłych zębów i, zanim zdążyliśmy zareagować, runął na suma, brutalnie wyrywając sieć z rąk. Uniósł zdobycz, po czym potężnym uderzeniem ogona zanurkował z nią w głębinie rzeki.

Dwie sekundy później staliśmy we trójkę na ławicy, ciężko dysząc i próbując otrząsnąć się z szoku.

– Sukinsyn... – wysapał profesor, z trudem łapiąc powietrze. – Nawet nie zauważyłem, kiedy się zbliżył.

Cassie siedziała na piasku, oddychając ciężko. Podniosła głowę i spojrzała na mnie.

– Mówiłam ci, że to był zły pomysł... Chyba nawet jeden z twoich najgorszych.

– Spójrzmy na to z innej strony – odparłem, opierając dłonie na kolanach. – Może kajman się najadł i przynajmniej jednego drapieżnika mamy z głowy.

Kwadrans później stałem na środku maleńkiej wyspy, bezradnie obserwując, jak słońce chowa się za skrajem dżungli, a rzekę stopniowo spowijają cienie.

– Gdybyśmy mieli chociaż trochę drewna – westchnąłem, spoglądając na odległe korony drzew. – Moglibyśmy rozpalić ognisko i odstraszyć kajmany.

– Możemy spalić ubrania lub część ekwipunku – zaproponował profesor, klepiąc torbę, na której siedział. – Sporo rzeczy nadaje się na opał.

– Spaliłyby się zbyt szybko – odparła Cassie. – W końcu nic by nam nie zostało i wrócilibyśmy do punktu wyjścia.

Podczas tej wymiany zdań otworzyłem metalową skrzynkę ze sprzętem wrażliwym na wilgoć, wyjąłem trzy czołówki i rozdałem je reszcie.

– Skoro wejście do wody oznacza pewną śmierć – kontynuował profesor – nie pozostaje nam nic innego, jak próba przetrwania na brzegu. Musimy rozpalić ogień.

– Zgadzam się – odparłem, zakładając czołówkę. – Ale zamiast palić ubrania w ognisku, zróbmy pochodnie. Odpalane kolejno, wystarczą na dłużej. Co wy na to?

– Chyba nie mamy wyboru… – Cassie przytaknęła bez entuzjazmu.

Otworzyła plecak i wyjęła aluminiowy pręt usztywniający konstrukcję. Na jednym końcu owinęła go bawełnianą koszulką, a następnie spryskała spirytusem z apteczki.

Wkrótce staliśmy we trójkę, trzymając prowizoryczne pochodnie i czekając na odpowiedni moment, by je zapalić.

Noc zgęstniała, spowijając wszystko dookoła. Nagle nadciągnęły chmury, przesłaniając nikły blask księżyca w ostatniej kwarcie.

– *La gran chucha* – szepnęła Cassie, wzdrygając się. – Ależ ciemno się nagle zrobiło.

Jedyne źródło światła stanowiły nasze czołówki, ustawione na minimalną moc, aby oszczędzać baterie i nie oślepiać siebie nawzajem. Zaniepokojony słabą widocznością, zwiększyłem jasność latarki, by lepiej przyjrzeć się piaszczystej łasze.

Skierowałem snop światła na rzekę i zamarłem, bo to, co zobaczyłem, wydało mi się niemożliwe.

Miriady lśniących, bursztynowych kul unosiły się tuż nad powierzchnią wody, otaczając nas ze wszystkich stron.

Wytężyłem wzrok, próbując rozpoznać, co to jest. Dopiero gdy kilka z nich na moment przygasło i znów rozbłysło, zrozumiałem.

Mrugnięcie.

Ta masa małych, żółtych punktów to były oczy.

Dziesiątki par oczu wpatrywały się w nas z wody, śledząc każdy nasz ruch. Kajmany, ukryte w ciemności nocy, zbliżały się niepostrzeżenie.

OSTATNIE ZAGINIONE MIASTO

FERNANDO GAMBOA

Dżungla, która pożera ludzi. Zakazane miasto. Największe odkrycie archeologiczne w historii – albo ostatnia wyprawa ich życia.

Jeśli pełna adrenaliny „Ostatnia krypta" wbiła Cię w fotel, to „Ostatnie zaginione miasto" podnosi poprzeczkę jeszcze wyżej. Fernando Gamboa łączy w niej wybuchową mieszankę akcji, mrocznej archeologii, historycznych tajemnic i bezlitosnej walki o przetrwanie.

Zdesperowany profesor Castillo porzuca wszystko, by ratować córkę, która zaginęła bez śladu w najdzikszym zakątku planety. Ulises Vidal i Cassandra dołączają do jego wyprawy. Wspólnie zapuszczają się w samo serce zielonego piekła Amazonii.

Z pozoru zwykła misja ratunkowa szybko przeradza się w bezwzględną walkę o przetrwanie. Trop wiedzie ich do miejsca, które nie figuruje na żadnej mapie. Tam czeka na nich legendarne Czarne Miasto Z – wraz z tajemnicą, której nie powinni poznawać.

Patroni wydania:



autornia
www.autornia.com

ISBN 978-83-978114-8-5